

Rozmowy o Polsce i Niemczech

Część II

Albrecht Lempp:

W popołudniowej dyskusji chodzi o spojrzenie na Niemcy i mam nadzieję, że będzie to równie żywa i interesująca dyskusja, jak ta od której rozpoczęliśmy dzisiaj w południe.

Chciałbym przedstawić jej uczestników: Kazimierz Wóycicki występujący tu jako docent na Uniwersytecie Warszawskim, a poza tym pracuje również w Szczecinie i niektórzy z Państwa na pewno pamiętają go jako szefa Instytutu Polskiego w Lipsku. Następnie Piotr Buras, który pochodzi z Warszawy, ale jakiś czas spędził w Centrum im. Willy'ego Brandta we Wrocławiu i teraz, jeśli jestem dobrze poinformowany, przebywa w Krakowie. Znają go Państwo wszyscy z komentarzy, relacji, analiz w prasie i telewizji. Jako trzeci wystąpi Klaus Bachmann, który wymieniony tu już był jako felietonista wrocławskiego wydania *Gazety Wyborczej*. Poza pracą na uniwersytetach w Warszawie i Wrocławiu dużo publikuje jako specjalista ds. niemieckich w polskich gazetach

Będziemy zaczynać, bo niektórzy już ok. godz. 16.00 muszą opuścić to przyjazne miasto. Rozpocznie pan Kazimierz Wóycicki, który opowie nam, czym jest rozczarowany, gdy myśli o Niemczech.

Kazimierz Wóycicki: „Niemcy – czym jestem rozczarowany”

Zatytułowałem to wystąpienie „Niemcy – czym jestem rozczarowany”. Dlaczego? W końcu lat 80 i na początku lat 90 dokonano się w stosunkach polsko-niemieckich wiele pozytywnych przemian i rozbudowano też wielkie nadzieje, że wszystko to zaprowadzi nas do polsko-niemieckiej wspólnoty interesów. Było to pytanie, czy po pełnych dramatów i tragedii stosunkach polsko-niemieckich w wieku XX, nastąpi swoiste katharsis, co doprowadzi do bliskiej współpracy i że to będzie jakaś zupełnie nowa jakość. Powiem otwarcie, że taką nadzieję sam żywiłem. Oczywiście od razu było wiadomo, że jak gdyby na przeciwnym biegunie może być taki stan stosunków, które będą jedynie poprawne i nacechowane ciągłą wzajemną podejrzliwością i „czkawką” z przeszłości.

Wydaje mi się, że po latach – mówię to z żalem – stosunki polsko-niemieckie, choć dokonał się w nich przełom i są lepsze niż tylko poprawne, mimo różnych zrozumiałych napięć oraz, co szalenie istotne jesteśmy razem w UE, to jednak te wielkie nadzieje początku lat 90 nie zostały spełnione. Dziś trzeba ponownego wysiłku we wzajemnym dialogu. Jeśli ta diagnoza jest prawdziwa, to wypada się zastanowić, dlaczego się tak stało. W moim rozumieniu po pierwsze nie wzięto pod uwagę różnic mentalności po obu stronach. Spróbuję krótko wyjaśnić, co mam na myśli, choć zdaję sobie sprawę, że wymagałoby znacznie dłuższej analizy. Polacy generalnie biorąc byli w tym dialogu w pewien sposób za „grzeczni”. To nie żaden komplement. Ta polska „grzeczność” polega często na tym, że nieprecyzyjnie mówi się o swoich interesach, liczy się na dobrą wolę partnera, oczekując że on raczej domyśli się o co nam chodzi, niż my mu mamy to powiedzieć wprost. Polacy robią wrażenie, jakby dopiero wtedy rozpoznawali własne interesy, kiedy zostają one przez innych zakwestionowane, nie precyzują dostatecznie swoich politycznych celów i zamiast nazywać konflikty rozmazują je. Po stronie niemieckiej natomiast, ta polska właściwość i sposób prowadzenia negocjacji, brana jest wyłącznie za słabość. Niemcy z kolei nie chcieli nauczyć się o Polsce więcej, nawet jeśli pragnęli okazać jej sympatię, w rezultacie nie oduczyli się swego paternalizmu. Nie rozpoznali, że koniec końców Polacy chociaż tacy grzeczni, mogą okazać się twardymi negocjatorami. Niemcy bez przerwy zdają się Polaków pouczać i może nie byłoby w tym nic złego, gdyby byli też nastawieni na wysłuchiwanie krytycznych uwag strony przeciwnej. Wydaje mi się, że nawet bardzo przyjaźnie nastawieni do Polski Niemcy, są bardzo zdziwieni, kiedy to Polak krytykuje niemiecką politykę, zamiast przysłuchiwać się, co mu się radzi.

To, że pewien kryzys we wzajemnych stosunkach wydaje być dziś powodowany głównie historią może wydać się anachronizmem. Anachronizmem chyba nie jest. Po pierwsze, każda dyskusja o historii jest w jakimś sensie projektowaniem przyszłości, a po drugie – całkiem aktualne spory polityczne przybierają czasem kostium historyczny, nie tracąc nic z powagi i aktualności. W sporze polsko-niemieckim chodzi o sprawy fundamentalne: o stosunek Europy do Rosji, pytanie o stosunek Niemiec do Wschodu, o stosunek do wolności itd. W sporach tych nie sposób pominąć historii. Aby zrozumieć dzisiejszy kształt tych sporów trzeba zastanowić się, jak kształtowały się stosunki polsko-niemieckie w wieku XIX wiek. Dzisiaj nadrabiamy monstrualne deficyty braku polsko-niemieckiego dialogu w wieku XIX. I Niemcy krytycznie winni się sobie w tym punkcie przyjrzeć.

Otóż kultura niemiecka XIX wieku aż po rok 1945, to narasta w drugiej połowie XIX wieku bardzo silnie, jest antysłowiańska i bardzo silnie antypolska. Starczy lepiej przeczytać literaturę niemiecką i nie tylko Gustawa Freytaga. Nota bene ostatnia książka pani Surynt z Uniwersytetu Wrocławskiego winna być obowiązkową lekturą wszystkich uczestników polsko-niemieckiego dialogu podobnie jak książka profesora Orłowskiego o „polnische Wirtschaft”. Problemem jest, że w całym rozrachunku z okresem 1933-1945 o uniwersalnym znaczeniu w bardzo dojrzałej przecież kulturze pamięci i kulturze politycznej Niemiec Zachodnich, dawnej Republiki bońskiej, nie było żadnej poważnej dyskusji na ten temat Polski i stosunku do Polski. Jak również po 1989 nie odbyła się żadna debata na temat Polski, pomimo że Niemcy uwielbiają bardzo poważne i szerokie debaty medialne. Nigdy Polska nie stała się ważnym tematem dla niemieckiej opinii publicznej. Gdy tymczasem badania opinii publicznej wskazują, że, o ile niemiecka klasa polityczna stara się o nowe nastawienie do Polski, to niemiecka opinia publiczna, ów przeciętny Niemiec i wraz z nim przeciętny niemiecki człowiek mediów żywi po dawnemu głębokie stereotypy na temat Polski. Takie są wyniki badań opinii publicznej. Co czwarty zapytywany Niemiec na pytanie czy Polska ma wzrost gospodarczy, odpowiada, że nigdy w to nie uwierzy. Dzisiaj w Polsce ma być, wedle niemieckich mediów, zagrożona demokracja. I podobne stereotypy wcale nie słabną. I dodatkowo doszedł do tego cały balast byłego NRD, które jest wobec Polski ksenofobiczne, z wyjątkiem oczywiście wspaniałych i mądrych, ale niestety nielicznych byłych wschodnioniemieckich dysydentów-opozycjonistów.

Dopóki Polska miała dopiero wejść do Unii, to obie strony zachowywały się powściągliwie. Po wejściu jednak obu stronom puściły trochę nerwy. W przypadku tak ważnych wydarzeń jak wojna w Iraku, rura pod Bałtykiem a także istotnych symboli jakim ma być upamiętnienie przymusowych przesiedleń nie doszło do żadnej poważnej polsko-niemieckiej debaty albo doszło do niej zbyt późno. Debata nie było, ale prasa niemiecka okrzyczała Polskę jako kraj nierozsądny, niewdzięczny a polskich polityków jako osoby niedoświadczone. Spójrzmy jednak na to z pewnego dystansu. Biorąc pod uwagę ów wiek XX i Polaków i Niemców w owym wieku, jako dwie wspólnoty polityczne, to czy istnieje takie podejrzenie, że Polacy jako wspólnota polityczna, są radykalnie mniej rozsądni od tej niemieckiej wspólnoty politycznej? I czy w związku z tym, strona niemiecka winna pozwalać sobie na lekceważenie tego, co w polskiej polityce się myśli i co czynią polscy politycy?

Są to dwie kultury polityczne z różnymi doświadczeniami. Mają swoje wady i zalety, ale wydaje mi się, że powinny się starannie wysłuchiwać. Nie ma Europy, tej Europy unijnej bez

Niemiec w środku, ale wydaje mi się, że nie ma Europy, zachowania Europy i rozwoju Europy bez poważnego głosu Europy Środkowej i w związku z tym bez pewnego dialogu – w tym sensie dialogu Niemcy-Polska, Niemcy-Europa Środkowa. Wydaje mi się, że w Niemczech tego ostatecznie nie zrozumiano, że dopiero w tej chwili, w bólach być może taki dialog o dosyć twardych kwestiach się rodzi.

Dodam jeszcze jedno. Można mówić o bieżących wydarzeniach politycznych, itd., ale mnie zawsze interesowało w polityce to, co jest jej podłożem, głębokim podłożem kulturowym. Można powiedzieć tak, że Polacy zawsze mają w swojej polityce kłopot z państwem, jak je traktować. Zarazem są kulturą bardzo głęboko polityczną. Jeżeli przeczytamy cały polski romantyzm i przypatrzymy się polskiemu etosowi, to jest cały czas kręcenie się wokół tego, jak prywatne ma się do tego, co publiczne i do tego, co polityczne. Kod niemieckiej kultury jest inny, jest szalenie filozoficzny, ale Niemcy czasem w tej takiej filozofii, wspaniałej pogłębionej kulturze, jak gdyby, mają kłopot z jednym problemem – z problemem wolności. „Dziady” Mickiewicza są politycznym dziełem o wolności, „Faust” Goethego jest filozoficznym traktatem o ludzkim istnieniu. Myślę, że Niemcy powinni przemyśleć, czy nie przydałoby im się trochę polskich lektur o wolności.

Dyskusja tych dwóch kultur politycznych: kultury Europy Środkowej, kultury dysydenckiej opartej o zasadę indywidualnej wolności i kultury niemieckiej, która dysponuje innymi zaletami mogłaby się okazać nader ciekawa. Czy zaczęliśmy zdawać sobie z tego sprawę? Wybitni niemieccy politycy wygłosili kilka przemówień o tym, że Niemcy zawdzięczają zjednoczenie Niemiec ruchowi „Solidarności”. To mógł być początek takiej debaty. A jednak się tak nie stało, bowiem te przemówienia zostały wygłoszone w Warszawie z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego, w Gdańsku, na Westerplatte, ale nie w Niemczech i w gruncie rzeczy nie do Niemców. Komplementowano Polaków, nie zadając pytania Niemcom o ich stosunek do Polski. Temat polski nigdy nie stał się dla Niemców pytaniem i problemem i bagaż XIX wieku nigdy nie został poddany krytyce. To rozkłada się na wiele tematów szczegółowych oczywiście. Na przykład, co zawierają niemieckie podręczniki do historii. Są raporty polsko-niemieckiej komisji szkolnej, że z tym jest bardzo niedobrze. Jeśli chodzi o niemieckie podręczniki szkolne do historii, że stosunek na przykład materiału o Rosji i o Europie Środkowej jest jak 10 do 1. A to, że języka polskiego nawet w regionie pogranicza w ogóle się nie naucza, mimo ustaleń traktatowych, że będzie się o te sprawy dbało.

Czy Polska jest dla Niemców jakimś rodzajem pośrednika w poznawaniu Europy Środkowej? Jeżeli ruch Solidarności ma jakieś zasługi dla zjednoczenia Niemiec, to nie chodzi o to, żeby wystawiać Polakom pomniki, ale takie przyznanie tego na poważnie miałyby takie konsekwencje, że kiedy dyskutujemy dzisiaj na temat Rosji i na temat polityki europejskiej wschodniej, to warto Polaków wysłuchać. Może warto potraktować Polskę jako pośrednika w pewnych sprawach? Przejdźmy się po księgarniach w Warszawie i księgarniach w Berlinie. Ilość książek o Ukrainie i Białorusi, tłumaczeń z literatury jest tu i tam jak 1:20. W Polsce wydano 5 czy 6 historii Ukrainy i Ukraińców tłumaczono. Niemcy mają jedną historię Ukrainy. Więc Polacy mogliby być tutaj partnerem i można by z nimi dyskutować. Pytanie w ogóle czy nie powinniśmy tych 60-latków i tych niezwykle odważnych ludzi na Ukrainie z połowy lat 80, którzy nadali jakąś prawdziwą treść „pierestrojce” Gorbaczowa również wciągnąć w poczet tych, którym Niemcy są wdzięczni, że się Niemcy zjednoczyły. To by było jeszcze głębsze spojrzenie. Ale tego procesu w Niemczech nie widać i to budzi moje rozczarowanie. Moja obserwacja o kulturze niemieckiej jest taka, że ona się Europy Środkowej nie chce uczyć. Po prostu, że Niemcy się nie dążą do tego do tego by poznać ogrom Europy, jaki leży między nimi a Rosją.

Ja na obecne spory patrzę dosyć spokojnie. Uważam, że nic się dramatycznego nie dzieje. Polacy zaostrzyli trochę swój ton. Nauczyli się, że mogą być trochę mniej grzeczni, że muszą być nawet trochę mniej grzeczni. Nie zawsze im to wychodzi, bo jak się jest mniej układnym, też zawsze trzeba być dyplomatycznym i zręcznym, a to już jest spora sztuka, te dwie sprawy połączyć. To powoduje niemieckie reakcje niezadowolenia. Nauka na razie z tego jest przykra, że w Niemczech polskie problemy tak długo nie są dostrzegane, dopóki się nie podniesie jakiś krzyk i awantura w Warszawie. Dopiero wtedy się zwraca się uwagę na to, co Polaków boli, i co Polacy chcą powiedzieć. Bo jak to normalnie mówią, to się na to w ogóle nie zwraca uwagi. Ale ja bym powiedział, że to jest taki normalny proces uczenia się dialogu w Europie i nic się tu dramatycznego nie dzieje. Natomiast mam wrażenie, że i Polacy i Niemcy, jako Europejczycy tracą cenny historyczny czas i traci się jakąś wielką szansę. Europa wcale nie jest aż w takim dobrym stanie, jak nam się zdaje. Jeżeli my się w ciągu najbliższych 25 lat do tego roku 2030, 2025 nie rozszerzymy o Ukrainę, Białoruś (paradoksalnie Polacy są też jednoznacznie za członkostwem Turcji, a Niemcy nie) i nie dokonamy takiej rewolucji w myśleniu i nie będziemy myśleli wspólnie, to my stracimy pewnie tą Europę. Bo historia, dzieje są potwornie dynamicznym żywiołem i żyjemy w oku cyklonu. Na razie się nic nie dzieje. Tylko słyszymy jedynie o kłopotach z ropą i na razie

wszystko jest fajnie ale na pewno za 20-30 lat ta historia powróci w swój dynamizm. Wtedy będzie się można zapytać, czy tę europejską szansę dialogu żeśmy wykorzystali.

Polacy może nie mają tak dobrych jak Niemcy dyplomatów, ale Polacy wraz z całą Europą środkowo-wschodnią mają doświadczenie z historią, z którą Europa winna się liczyć. Polacy – ośmielam się powiedzieć – nie mają mniej historycznego rozsądku niż Niemcy i warto, żeby Niemcy wreszcie doszli też do tego wniosku. I właśnie wiek XX powinien być takim ostrzeżeniem. Ja mam nadzieję, że w ostatniej fazie tych awantur polsko-niemieckich jednak rozsądek zwycięży i zaczniemy się nawzajem słuchać. Ale powiem jednak dobitnie: mam nadzieję, że również nasi niemieccy przyjaciele złączą nas słuchać bardziej uważnie.

Dziękuję.

Albrecht Lempp:

Bardzo dziękuję. Po tym jak niedawno mieliśmy wydanie czasopisma *Osteuropa* z podtytułem „Krytyka polskiego rozsądku”, dziękuję za tę krytykę niemieckiego rozsądku albo czasem jego braku. Drugim mówcą jest Piotr Buras. On niedawno, co moim zdaniem było interesujące, jako jeden z nielicznych komentatorów spróbował przedstawić w polskiej prasie, co właściwie miały oznaczać gesty prezydenta Köhlera podczas dorocznego zjazdu Związku Wypędzonych, które wywołały tu negatywne komentarze i reakcje. Nieważne jak krytyczne, ale na pewno jego spojrzenie na Niemcy jest kompetentne. Bardzo proszę, pan Buras.

Piotr Buras: „Czy w Niemczech pisze się historię na nowo?”

Tytuł mojego wystąpienia brzmi: „Czy w Niemczech pisze się historię na nowo?” i jest to rzeczywiście problem, który jak sądzę, ma dzisiaj znaczenie fundamentalne. Mam przekonanie, że bardzo dużo trudności w polsko-niemieckim dialogu, szczególnie na poziomie politycznym oczywiście, ma swoje korzenie w pewnej zasadniczej różnicy w percepcji niemieckich debat o historii czy redefinicji stosunku do historii, jaka ma miejsce w Niemczech. Procesy te są zupełnie inaczej widziane w Polsce, inaczej natomiast w Niemczech. Chciałbym odnieść się w moim wystąpieniu do pewnych tez, które są sformułowane w polskiej debacie na temat przemian w niemieckiej świadomości historycznej, nie będę natomiast mówić w zasadzie w ogóle o stosunkach polsko-niemieckich czy nawet miejscu Polski w tym niemieckim dyskursie historycznym. Przychyłam się do tych opinii, które były już dzisiaj wyrażane przez pana Schullera i Kazimierza Wóycickiego, że Polska jest bardzo słabo obecna w tym dyskursie, że świadomość cierpień zadanych Polsce czy Polakom w czasie II Wojny Światowej jest bardzo mała.

Chciałbym jednak spojrzeć na problem niemieckiej świadomości historycznej nieco szerzej, wykraczając poza ten wymiar bilateralny. Rzeczywiście w Niemczech dokonują się istotne zmiany, jeśli chodzi o sprawy stosunku do przeszłości, które jednak trzeba by rozdzielić na trzy sfery. Pierwszą sferą jest kwestia postaw obecnych w społeczeństwie. Można ją badać na podstawie badań opinii publicznej, pokazywać, jaki jest stan wiedzy, jaki jest stosunek do pewnych spraw. Tym aspektem nie będę zajmować się w moim wystąpieniu. Drugą sferą jest dyskurs publiczny, intelektualny, który moim zdaniem ma ogromne znaczenie i o tym będę głównie mówił. Trzeci aspekt to jest polityka historyczna, czyli pewne działania podejmowane przez państwo, przez rząd federalny przede wszystkim i do tego też się na krótko pod koniec odniosę.

Jak powiedziałem, uważam, że w Niemczech dokonuje się dosyć zasadnicza zmiana w spojrzeniu na historię, która szczególnie dotyczy miejsca III Rzeszy jako centralnego punktu odniesienia w niemieckim dyskursie publicznym. Można wręcz mówić o tym, że znaczenie III Rzeszy w debacie publicznej rzeczywiście trochę się relatywizuje. W Polsce silnie obecna jest opinia, że w Niemczech dochodzi do relatywizacji niemieckich win, że debata o ofiarach oznacza całkowitą redefinicję obrazu przeszłości, że Niemcy chcą siebie postrzegać jako naród ofiar, a nie naród sprawców, że jest prowadzona nowa polityka historyczna... Choć uważam, że teza o pewnej relatywizacji miejsca III Rzeszy w niemieckiej kulturze politycznej jest prawdziwa, to z resztą tych opinii się nie zgadzam. Dla opisu przemian, które zachodzą dzisiaj w Niemczech najlepszym terminem jest, jak sądzę, „pluralizacja dyskursu”, który to termin sformułował Claus Leggewie, znany niemiecki politolog. Można ją rozumieć w ten sposób, że podczas gdy do tej pory (przynajmniej przez ostatnie dwadzieścia lat) III Rzesza i Holocaust były to absolutnie kluczowym i dominującym punktem odniesienia wszystkich niemal niemieckich debat (nie tylko tych o historii), to dzisiaj jest już tak w coraz mniejszym stopniu. W spojrzeniu na przeszłość zaczynają również funkcjonować inne narracje m.in. ta dotycząca niemieckich ofiar w czasie II Wojny Światowej, ale również, a może przede wszystkim, dotyczące historii po 1945. Ale nie świadczy to o jakichś bardzo negatywnych tendencjach, lecz jest wynikiem kilku procesów, które chciałbym krótko – w czterech punktach – omówić.

Pierwszy odnosi się do pewnych koniunktur w debacie o pamięci w Niemczech, których przemiany dają dzisiaj znać o sobie. Drugi dotyczy tzw. końca epoki świadków historii, czyli osób, dla których okres II Wojny Światowej jest częścią ich własnej biografii. Trzeci punkt dotyczy odpolitycznienia pamięci o III Rzeszy w niemieckiej kulturze politycznej. Czwarty punkt to kwestia uhistorycznienia okresu powojennego i jego skutków.

Punkt pierwszy: koniunktury pamięci. W Polsce często się zapomina, że debata o niemieckich ofiarach wojny i wypędzenia, która tak wzburza Polaków, nie wzięła się z niczego i jest już trzecią wielką dyskusją, jaka się odbywa w Niemczech na przestrzeni ostatnich 20-30 lat. Na tym polegają te zmieniające się koniunktury pamięci, o których pisała niemiecka historyk Ute Frevert. Najpierw zainteresowanie niemieckiej opinii publicznej zwróciło się ku żydowskim ofiarom III Rzeszy. To były lata 70-e, serial „Holocaust” w telewizji, wreszcie tzw. spór historyków (*Historikerstreit*) w połowie lat 80-ych. Tak więc lata 80-e stały pod znakiem zainteresowania Niemców tym, co sami wyrządzili Żydom. Mówiąc schematycznie, lata 90-e zdominowały natomiast bardzo ważne debaty na temat Niemców jako sprawców tych zbrodni. To była debata o zbrodniach Wehrmachtu, wielka dyskusja wokół książki Goldhagena, amerykańskiego historyka, który oskarżył dawne pokolenia Niemców o eliminacyjny antysemityzm. To były bardzo istotne dyskusje dotyczące roli Niemiec jako sprawców II Wojny Światowej i Niemców jako sprawców zbrodni. Tak więc od końca lat 70 miał miejsce swoisty boom pamięci, naznaczony kilkoma wielkimi debatami historycznymi. I co istotne, tą kolejną, trzecią, odsłoną jest właśnie debata o niemieckich ofiarach II Wojny Światowej. Po tym, jak Niemcy przedyskutowali gruntownie sprawę cierpień Żydów oraz własnej roli jako autorów zbrodni, zwracają się ku własnym ofiarom. Tym samym nie jest to przełom w kierunku postrzegania siebie jako narodu ofiar. Jest to raczej dopełnienie pewnych debat, które się toczą w Niemczech od 20-30 lat. Czyli jest to pewna forma odreagowania, nie tylko emocjonalnego, ale również intelektualnego, politycznego na dyskusje, które w Niemczech prowadzono wcześniej. Oczywiście wszelkie analogie tego rodzaju są bardzo zwodnicze, ale można to porównać w pewnym stopniu do sytuacji w Polsce po debacie o Jedwabnem. Mieliśmy w Polsce debatę o Jedwabnem, która była bardzo samooskarżycielska, w której bardzo ostro postawiono sprawy polskiej odpowiedzialności, czy polskich przewin wobec narodu żydowskiego w czasie II Wojny Światowej, po czym nadeszła reakcja w postaci zwrotu ku bardziej afirmatywnemu stosunkowi do polskiej historii. W Niemczech też widoczne jest zmęczenie dotychczasowymi dyskusjami i potrzeba większej wyrozumiałości i empatii dla losu własnych współobywateli.

Przechodzę do drugiego punktu. Drugie źródło obecnego klimatu wokół przeszłości w Niemczech jest, jak mi się wydaje, jeszcze ważniejsze. Jest nim koniec epoki świadków historii, czyli koniec epoki, w której żyje jeszcze pokolenie, które pamięta II Wojnę Światową. Ci ludzie po prostu odchodzą ze względów biologicznych. Ale ta zmiana pokoleniowa ma fundamentalne znaczenie dla postrzegania historii i dla stosunku do generacji odchodzącej. Stosunek do przeszłości w wymiarze kultury politycznej w Niemczech był ukształtowany w ostatnich przynajmniej 20 latach przez generację 68 roku, która toczyła wojnę o pamięć z generacją rodziców, czyli właśnie z tą generacją, która pamięta II Wojnę Światową. Na tym polegało to zasadnicze przewartościowanie w niemieckiej debacie o przeszłości, że młodsza generacja wystąpiła przeciw pokoleniu ojców oskarżając je o zbrodnie i obciążając ją bezpośrednią odpowiedzialnością za to, co się działo w okresie narodowego socjalizmu. Dzisiaj mamy tendencję odwrotną. W momencie, w którym to najstarsze pokolenie odchodzi, generacja, która się wcześniej buntowała, ma dzisiaj raczej potrzebę pojednania i większą empatię po prostu z losem rodziców czy dziadków. A częścią ich losu jest właśnie cierpienie w czasie II Wojny Światowej. W dużej mierze tłumaczy to, dlaczego na poziomie społecznym jest taka duża otwartość i takie duże zainteresowanie problemem Niemców jako ofiar II Wojny Światowej. Co ciekawe, to zainteresowanie, jak pokazują badania opinii publicznej, jest wśród osób najmłodszych, pokolenia 20-30-latków, zdecydowanie mniejsze niż w pokoleniach starszych. Potwierdza to tezę, że jest to głównie problem tych starszych generacji. Co ważne – taki zwrot ku tym historiom rodzinnym, który widoczny jest też na poziomie literatury, jest masa książek, historii rodzinnych, powieści rodzinnych, zainteresowanie tą historią rodzinną wcale nie musi świadczyć o redefinicji obrazu przeszłości. To podejście jest bardzo, Klaus Bachmann pisał o tym w swojej książce, jest bardzo indywidualistyczne. Nie chodzi w nim tak bardzo o los Niemców jako „narodu ofiar” II Wojny Światowej, tylko o losy pojedynczych osób, spojrzenie przez pryzmat losu jednostek, a nie całego narodu. W tym też kryją się pewne niebezpieczeństwa, zaciera się w takim dyskursie trochę granica między ofiarą, sprawcą, Mitläuferem, itd... Ale skoro patrzy się głównie na jednostkę jako aktora historii, a nie na zbiorowość (naród) jako całość, to ten obraz jest bardziej zróżnicowany, szary. Takie indywidualistyczne podejście tłumaczy, dlaczego takie osoby jak Günter Grass czy Helga Hirsch czy Ralph Giordano – osoby niemieckiej lewicy – interesują się bardzo silnie problemem niemieckich ofiar, czyli czymś co niegdyś było zarezerwowane w zasadzie tylko dla niemieckiej prawicy. Ich zwrot ku tej tematyce nie oznacza, że te osoby, czy cała formacja lewicowa w Niemczech, przyjmuje

dzisiaj jakiś nacjonalistyczny punkt widzenia na historię i redefiniuje swój stosunek do tej przeszłości. To zainteresowanie wywodzi się z zupełnie innych źródeł – traktowania obywatela i jednostki jako głównego podmiotu dziejów i przekonania, że każdej jednostce należy się szacunek i uwaga, jeśli stała się ofiarą historii. Kończąc ten wątek, można powiedzieć, że w tym osławionym projekcie Centrum przeciw Wypędzeniom spotykają się w istocie dwa różne nurty. Z jednej strony jest to niemiecko-narodowe, nawet nacjonalistyczne, spojrzenie na problem przeszłości, wypędzeń i niemieckich ofiar, jakie reprezentuje Erika Steinbach i duża część środowisk wypędzonych. Z drugiej zaś wspomniane podejście charakterystyczne dla osób związanych z lewicą. Z tego wynikają liczne nieporozumienia i trudności w komunikacji tego projektu m.in. w Polsce. Niestety jest także instrumentalizacja apolitycznego podejścia „lewicowców” do partykularnych celów Związku Wypędzonych.

Trzeci problem, który wydaje mi się bardzo ważny jako źródło zmian w niemieckim nastawieniu do przeszłości, nazywam „odpolitycznieniem” pamięci o III Rzeszy. Jest ono o tyle ważne, że kwestia tej właśnie pamięci była przez całe lata, powiedzmy od lat 70-ych, a w szczególności 80-ych, tematem stricte politycznym. Tematem ważnym nawet dla różnicowania się obozów politycznych. Z jednej strony lewica, z drugiej strony ta prawica konserwatywno-mieszczańska CDU. Formy pamięci i znaczenie, jakie jej nadawano w debacie publicznej były zupełnie inne w tych dwóch obozach. Ale najważniejsze jest może to, że pamięć o III Rzeszy była też swego rodzaju instrukcją do działania w polityce. Lekcje politycznego działania wyciągało się bezpośrednio z przeszłości. To dotyczyło choćby polityki zagranicznej: niemiecka kultura wstrzemięźliwości, czyli niechęć do użycia siły w stosunkach międzynarodowych zrozumiała jest tylko przez odwołanie do przeszłości i wojny Hitlera. Inny przykład to stosunek do skrajnej prawicy. Kierowano się przekonaniem, że należy ją zwalczać, by nie powtórzyło się to, co już raz Niemcy przechodzili w przeszłości. Antyfasyzm, szczególnie w pokoleniu 68 roku, o czym wspominała Gabriele Lesser, był metodą, za pomocą której prowadzono kampanię przeciwko skrajnej prawicy. Ale przeszłość była też punktem odniesienia dla polityki pojednania z Francją, z Izraelem, później z Polską, Czechami, Rosją. Również państwo socjalne uważane było za remedium na tę straszną przeszłość, zgodnie z przekonaniem, że jeżeli Niemcom zagwarantuje się dobrobyt socjalny, opiekę socjalną, to hitleryzm na pewno nie wróci. Moim zdaniem taki sposób traktowania przeszłości III Rzeszy – jako skarbnicy argumentów w bieżącej debacie publicznej – kończy się. Tego rodzaju upolitycznienie pamięci odchodzi w przeszłość. Dzieje się tak z dwóch

względów. Pierwszą przyczyną jest pewien nowy konsensus co do wartości w społeczeństwie niemieckim, a szczególnie wśród partii politycznych. Dzisiaj kwestia pamięci o przeszłości nie jest już żadnym wyznacznikiem politycznych podziałów. Nie ma sporu w tej kwestii, szczególnie między CDU a SPD. Z wyjątkiem, oczywiście, kwestii wypędzonych i Centrum przeciw Wypędzeniom. Ale moim zdaniem różnica ta nie jest tak fundamentalna, jak 20 czy 30 lat temu, kiedy spierano się np. o politykę historyczną Kohla czy budowę Muzeum Historii Niemiec. Ten konsensus w sprawie wartości dotyczy też innych rzeczy. Nie przypadkiem powstał on w okresie rządów Schrödera, kiedy dopełniono pewnych reform takich jak legalizacja związków homoseksualnych, kwestia reformy obywatelstwa, jak wprowadzenie dyskursu o ochronie środowiska, ekologii do tego głównego nurtu debaty publicznej. Nie przypadkiem niektórzy niemieccy publicyści twierdzą, że to niemieckie społeczeństwo jeszcze nigdy nie było tak w zgodzie ze sobą jak dzisiaj, mimo wszelkich napięć i problemów. Ma to istotne znaczenie też dla kwestii związanych z pamięcią. Drugi powód, dla którego to upolitycznienie pamięci o III Rzeszy kończy się, związany jest z faktem, że to odniesienie do historii – nauczycielki życia przestaje być adekwatne do współczesnych warunków. Z odwołania do „strasznej przeszłości” coraz trudniej wyciągać jakieś zasadnicze wnioski dla rozwiązywania dzisiejszych problemów. Joschka Fischer próbował jeszcze uzasadniać interwencję Niemców w Kosowie za pomocą argumentu, że Auschwitz nie może się powtórzyć, ale sam potem się z tego wycofał widząc, że to nie tak. Niemcy byli w Kosowie przede wszystkim dlatego że musieli się wykazać solidarnością sojuszniczą. To sojusznicy oczekiwali tego od Niemiec, że przyjdą z pomocą, a nie będą odwoływać się do jakichś ograniczeń wynikających z przeszłości. Inny dobry przykład dotyczy skrajnej prawicy. Dzisiaj metodą na zwalczanie skrajnej prawicy nie jest antyfaszyzm, a w każdym razie nie może być metodą jedyną, a nawet główną. Za pomocą li tylko kampanii antyfaszystowskiej wiele się nie działo, ponieważ źródła siły NPD czy DVU w Niemczech wynikają głównie z problemów wykluczenia, problemów społecznych i bezrobocia, a nie fascynacji narodowym socjalizmem. To w tym właśnie sensie polityczne traktowanie pamięci o III Rzeszy się wyczerpuje. Jeśli chodzi o stosunki z Polską, to odwołanie do historii mogłoby, oczywiście, zadziałać, bo takie jest oczekiwanie po stronie polskiej. Ale w Niemczech panuje przekonanie, że Niemcy już wystarczająco dużo zrobili w tym względzie. Elementem polityki pojednania z Polską było poparcie dla polskiego członkostwa w Unii Europejskiej.

Zdaniem Niemców członkostwo Polski w Unii Europejskiej zmienia całkowicie sytuację. Dzisiaj nie odwołanie do przeszłości, ale odwołanie do przyszłości, do Europy, do problemów europejskich jest tym źródłem, z którego się czerpie jakieś wskazówki dla polityki wobec Polski. To odpolitycznienie pamięci ma pewne konsekwencje. Wynikają z niego nie tylko pewne trudności w stosunkach bilateralnych z Polską, ale również następuje pewne poluzowanie pewnej poprawności politycznej. Dzisiaj łatwiej przechodzą przez gardło różne kontrowersyjne wypowiedzi. To, że ta polityczna funkcja pamięci zanika, otwiera te śluzę, przez które do debaty publicznej przedostają się opinie i poglądy dotąd nie tolerowane.

Ostatni punkt dotyczy pewnych trendów w debacie intelektualnej, które też są związane ze zmianami generacyjnymi. Dzisiaj z polityki odchodzi to pokolenie 68 roku, które było autorem trwającego przez lata konsensusu w sprawach pamięci i to właśnie takiego, który zakładał daleko idące upolitycznienie pamięci. Dzisiaj alternatywą dla tak ukształtowanego modelu kultury politycznej, który jest uosabiany przez pokolenie 68 roku, jest nowy konserwatyzm (*neue Bürgerlichkeit*). O ile o znaczenie tego nurtu można się spierać, to z pewnością odzwierciedla on pewne nastroje społeczne. Rzecz być może najważniejsza to to, że dla tych młodszych pokoleń (przedstawicielami tego nurtu są intelektualiści 40-50-letni) to nie III Rzesza jest tym głównym punktem odniesienia w przeszłości. Tym głównym punktem odniesienia w przeszłości staje się Republika Federalna Niemiec, czyli okres po 1945 roku. To, że dzisiaj dyskutuje się bardzo dużo w Niemczech, o dziedzictwie 68 roku, o epoce Adenauera, o reformach społecznych i ich znaczeniu z lat 50 i 60 nie jest przypadkiem. Powojenna RFN jest już taką samą historią, jak III Rzesza, co powoduje, że ogólny obraz historii Niemiec zasadniczo się zmienił – przybył w nim nowy i niezwykle ważny element. To uhistorycznienie Republiki Federalnej Niemiec powoduje istotne przewartościowanie w myśleniu o historii w ogóle. W odczuciu nie tylko tych guru intelektualnych nowego konserwatyizmu, ale i dużej części społeczeństwa w ogóle, jest wreszcie w historii Niemiec jakiś okres, z którego można być dumnym, z którego można być zadowolonym. Okres powojenny to przecież czas jednoznacznego sukcesu, budowy demokracji, gospodarki wolnorynkowej, modernizacji społeczeństwa, wreszcie także rozliczenia z narodowym socjalizmem. To zasadniczo zmienia spojrzenie na historię i daje powód do dumy. Wydaje mi się, że tutaj ciekawym przykładem jest ta wystawa w Bonn w Domu Historii Republiki Federalnej Niemiec dotycząca ucieczki i wypędzenia, która w dużej mierze koncentruje się na integracji wypędzonych w społeczeństwie niemieckim w latach 50 i 60, a nie na samym

cierpieniu Niemców w czasie wypędzenia. Z punktu widzenia tożsamości niemieckiej dzisiaj ważniejszy jest ten sukces integracji wypędzonych po wojnie, postrzegany właśnie jako wielkie dokonanie, wielki sukces, a nie samo to cierpienie, które było faktem w latach 40. W tym wymiarze debata o wypędzeniach nawiązuje do innej ważnej debaty, która się toczy w Niemczech, czyli debaty o imigracji. Tu są pewne analogie. Nawet Horst Köhler w jednym ze swoich przemówień wprost to powiedział, że z tego sukcesu wypędzonych można wyciągnąć wnioski dla integracji imigrantów dzisiaj.

Ostatni króciutki punkt dotyczący wniosków, jakie płyną z tej zmiany w klimacie wokół sprawy przeszłości dla polityki historycznej. Szczególnie interesuje mnie ten jej wymiar, który dotyczy polityki zagranicznej, bo o tym też najwięcej się w Polsce mówi. Rzeczywiście jest tak, że w okresie Schrödera dokonało się coś, co bardzo chciał zrobić Helmut Kohl już w latach 80: doprowadzić do takiej sytuacji, kiedy Niemcy są postrzegani na arenie międzynarodowej jako równorzędny partner, rozmawiający z innymi *auf derselben Augenhöhe*, bez tego ogromnego balastu przeszłości. To był projekt, który Kohl chciał zrealizować już na początku lat 80. Jego wynikiem była słynna historia na cmentarzu w Bittburgu, gdzie spotkał się z Reaganem, żeby oddać hołd poległym w czasie II Wojny Światowej i zrobił to na cmentarzu, gdzie byli też pochowani żołnierze Waffen-SS. Ten projekt Kohla się nie udał, ponieważ podjął się go o 20 lat za wcześnie. Natomiast Schröder osiągnął to w bardzo dużym stopniu. Stało się tak z dwóch względów. Schröder miał za sobą te 20 lat autokrytycznych niemieckich debat o przeszłości, o których mówiłem na początku. W epoce Kohla te debaty dopiero zaczynały się, między innymi w odpowiedzi czy proteście wobec zabiegów Kohla mających na celu „normalizację” stosunku do przeszłości. Drugi powód, dla którego Schröderowi to się udało był taki, że miał on większą wiarygodność jako człowiek lewicy, a nie prawicy. Dzięki tej podwójnej legitymizacji „normalizacja” stosunku do przeszłości powiodła się, w dużej mierze została też zaakceptowana na Zachodzie. To jest z pewnością sukces Schrödera, on ją bowiem przeprowadził. Zrzucenie balastu przeszłości w niemieckiej polityce zagranicznej jest faktem, ale nie oznacza, oczywiście, żadnego rewizjonizmu. Ostatnie słowo. Ten nowy konsensus w Niemczech, który ja bym stwierdzał dzisiaj, który istnieje w odniesieniu do przeszłości, zawiera w sobie w dalszym ciągu pamięć o Holocauście, o III Rzeszy jako absolutny fundament niemieckiej kultury politycznej.

Ale jest też ten drugi, nowy element – coraz swobodniejsze traktowanie tej przeszłości jako czynnika, który miałby służyć za wskazówkę do działań o charakterze politycznym. A z tym idzie w parze większa duma i pewność siebie wynikająca ze świadomości, że Niemcy mają też „nową przeszłość”, tzn. okres po 1945 roku.

Dziękuję bardzo!

Albrecht Lempp:

Bardzo dziękuję. Rzeczywiście czas został przekroczony, jednak nie chciałem przerywać, ponieważ wszystko było istotne dla naszej dyskusji. No więc bez dalszego opóźniania, proszę, pan Klaus Bachmann.

Klaus Bachmann:

Ja tu mam według programu mówić chyba o Związku Wypędzonych, ale już nasz moderator powiedział, że jesteśmy tutaj we własnym gronie, w rodzinie. Ja nie wiem, czy jesteśmy w rodzinie, bo ja tu jestem dobrowolnie, a w rodzinie nie jest się dobrowolnie... Ale ja nie chcę mówić o Związku Wypędzonych, bo ja uważam, że nie ma o czym. Ja bym chciał zamiast tego mówić o pszczelarstwie.

Kiedyś był taki związek pszczelarski w Niemczech. On jeszcze jest. On był bardzo ważny po wojnie, ponieważ Niemcy wtedy potrzebowali dużo miodu. Było dużo dzieci, trzeba było je karmić miodem. Dużo miodu, żeby smarować sobie usta. Po jakimś czasie smarowania, to już nasi sąsiedzi doszli do wniosku, że ci Niemcy robili okropne rzeczy tam w latach 30, ale teraz to już są właściwie bardzo słodcy. Po jakimś czasie demografia się zmieniła. Było mniej dzieci. Już nie trzeba było poprawiać wizerunku Niemiec za granicą za pomocą miodu i związek pszczelarski stracił kompletnie na znaczeniu. Wtedy członkowie tego związku zebrali się w Berlinie i obradowali o tym, co zrobić, żeby związek mógł przetrwać, mimo że już właściwie nie produkuje miodu, pszczoł już nie ma, królowe uciekły. To była poważna tradycja w historii Niemiec. To jest coś, o czym nasza młodzież powinna pamiętać, że było kiedyś coś takiego jak pszczelarstwo niemieckie. Tego powinno się uczyć w szkołach, bo rzemieślnicy to robią i politycy to robią i dziennikarze jak najbardziej to robią, no to pszczelarze też powinni mieć swoje miejsce w historii. No i wpadli na pomysł, żeby wybudować centrum pszczelarstwa. Takie muzeum, w którym można zobaczyć, jak kiedyś pszczelarze obchodzili się z pszczołami, gdzie funkcjonowali, gdzie pracowali, gdzie dokonali tych wielkich rzeczy dla historii Niemiec i oczywiście też, jakie historyczne

krzywdy im się stały, dlaczego zlikwidowano pszczelarstwo w Niemczech, dlaczego dzisiaj już nie ma takiego znaczenia, dlaczego już nie ma partii pszczelarstwa, która kiedyś była bardzo ważna w Bundestagu – miała własnych posłów, kilkudziesięciu posłów, którzy w parlamencie zajmowali się wyłącznie pszczelarstwem. Dzisiaj, można powiedzieć, już praktycznie to są tylko jednostki. Postanowili, żeby wybudować centrum pszczelarstwa. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, że tam należy upamiętniać również pszczoły i ule, które zostały na terenach, które już nie należą do Niemiec. Zrobiła się awantura, ponieważ politycy z tych krajów, gdzie te pszczoły kiedyś grasowały, zaprotestowali, że tu Niemcy chcą nam odebrać nasze pszczoły, zagarnąć nasz miód i musimy przeciwko temu protestować. No i teraz jest kwestia czy niemieckie pszczelarstwo stanowi zagrożenie w polityce zagranicznej. Oczywiście można by tutaj powiedzieć, że to, co ja tutaj robię, to jest kpina, ale że jesteśmy w rodzinie albo w czymś podobnym, to można takie rzeczy robić. Jestem usprawiedliwiony. Ale za tym się kryje rzeczywisty problem, ponieważ z punktu widzenia większości niemieckich obserwatorów rzeczywiście chodzi tylko o pszczelarstwo. To jest taka sama organizacja jak związek rzemieślników, pszczelarzy, który robi pewne lobby, robi politykę, żeby pomagać swoim członkom, żeby bronić ich interesów i do tego celu może się posługiwać argumentacją, jak my to mówimy na uczelniach, normatywną. To znaczy taką wartościującą, taką, która mówi o wartościach, chociaż tak naprawdę to najczęściej chodzi o pieniądze. Ale ponieważ jak się mówi: mi chodzi tylko o pieniądze, no to mogę zawierać sojusz tylko z tymi, którym chodzi o to samo. Znaczą o moje pieniądze, bo jak chodzi im o własne pieniądze, to raczej się ze mną nie będą zgadzać. No to każdy, komu chodzi o swoje pieniądze mówi, że nie chodzi tylko o pieniądze. Oczywiście to nie jest takie ważne, ale chodzi o jakiś cel, który jest w stanie zjednać mi znacznie większe grono sojuszników niż gdybym tylko powiedział, że chodzi mi o pieniądze. Wobec tego muszę do tego dorabiać ideologię. Tak też robi związek rzemieślników, tak też robią w tej chwili lekarze niemieccy, którzy argumentują, że nie chodzi im wcale o własną kasę, tylko chodzi im o to, żeby pacjenci mieli pełny dostęp do ich świadczeń. Tak samo robią na przykład górnicy. Górnicy regularnie to robią i mówią, że im się należy, ponieważ taka ciężka praca i takie zasługi i Polska węglem stoi, że jak się zwalnia górników z kopalń, to bezpieczeństwo energetyczne kraju jest zagrożone. Więc każda grupa, która chce bronić swojego interesu oczywiście dorabia do tego odpowiednią ideologię, która jest skierowana do całego społeczeństwa po to, żeby zwiększyć liczbę potencjalnych sojuszników. Tak samo robi ten związek, o którym właściwie nie chcę mówić. Problem teraz polega na tym, czy on jest tak kompletnie nieważny, jak ja to teraz udaję, czy on jest

rzeczywiście takim wielkim zagrożeniem, jak można by sądzić, gdy się czyta na przykład wypowiedzi polskich polityków, większość polskich mediów w ostatnich miesiącach.

I tu przechodzę trochę do tego, co było przed południem, kiedy padło bardzo dużo takich określeń, z którymi ja mam zasadniczy problem. Ten problem polega na tym, że one się odwołują do jakichś kategorii, które my wszyscy uznajemy, ale jednocześnie każdy z nas przypisuje temu trochę inne znaczenie. I przede wszystkim one mają jedną rzecz wspólną. Mianowicie to, że są bardzo rozmyte i bardzo subiektywne, chociaż udają obiektywne. Takie ogólne, uniwersalistyczne, do których każdy się może przyznać i na które każdy może się powołać. To stwarza taki zamęt. Takim określeniem jest na przykład słowo rozsądek. Albo na przykład grzeczność. Tu już będziemy bardzo filozoficzni – obiektywizm. Jak ja słyszę, że dziennikarze powinni być obiektywni, to zawsze przechodzą mnie ciarki po skórze. Ja 20 lat byłem dziennikarzem i 20 lat byłem nieobiektywny i dobrze. Ja bym się bardzo obawiał, gdyby pewnego dnia premier mojego kraju, proszę teraz zgadywać, o którego chodzi, wystąpił publicznie z orędziem do narodu i by oświadczył, że teraz prasa naprawdę jest obiektywna. To ja bym emigrował. To wszystko są określenia, co do których zakładamy, że wszyscy mają podobny stosunek, chociaż tak nie jest. Które są bardzo trudno mierzalne, są bardzo nieprecyzyjne, ale odwołują się do jakiejś wspólnej płaszczyzny.

Jak Kazik Wóycicki mówi, że Niemcy Polaków powinni traktować poważnie... Czy jest ktoś na sali, kto się z tym nie zgadza? Czy możemy sobie wyobrazić, że ktoś w Niemczech jest przeciwko takiemu zdaniu? Ktoś powie, nie – Niemcy powinni traktować Polaków niepoważnie? Nie ma takich, prawda? Więc wszyscy możemy się z tym zgodzić, ale jednocześnie nie wiadomo, co to znaczy. Można teraz oczywiście wyciągnąć przykłady, że tu i tu i tu traktowano Polaków niepoważnie, a tu i tu i tu poważnie. Znowu mamy problem – czy szklanka jest pół pełna czy pół pusta. Nadal nie wiemy, co to znaczy poważnie. Możemy to teraz trochę dedukować. Ja to zrobię na innym przykładzie, że w niemieckich podręcznikach szkolnych powinno być więcej o Polsce. Ile więcej? W tej chwili na przykład jest 8% informacji na temat Polski czy Europy Środkowo-Wschodniej. Kiedy możemy uznać, że jest wystarczająco dużo. 15, 30, 50, 60 procent? Problem polega na tym, że taki podręcznik ma bardzo ograniczoną objętość. Nie można dać uczniom i nauczycielom podręcznika na 800 stron. Jeżeli zakładamy, że ten podręcznik ma 300-400 stron, no to w porządku. Im więcej jest o Polsce, tym mniej jest o Francji albo o Bangladeszu albo o czymś innym.

Wobec tego mamy ten sam problem z Bangladeszem, z Portugalią, z Wielką Brytanią, z Francją albo z kimś innym. Gdzie jest ta miara, która nam pozwala powiedzieć, że teraz jest dobrze i że wszyscy mogliby uznać, że teraz jest dobrze. Odpowiedź jest prosta. Kiedy Kazik napisze pierwszy artykuł, w którym stwierdzi, że w niemieckich podręcznikach jest za dużo o Polsce. Ja przepraszam, oczywiście nie chcę kpić z Kazika, tylko że akurat takie fajne przykłady dał. Wcześniej szukałem, nie mogłem znaleźć, a teraz je mam, więc bardzo dziękuję. Dziękuję za inspirację! Ten problem istnieje ze wszystkimi tymi określeniami, które też nagminnie dzisiaj były używane tutaj przed południem i prawdopodobnie ja się też nimi posługuję. To nie o to chodzi. Chodzi mi o to, że to pokazuje, że oczywiście to milcząco zakładamy, i to podejrzewam każdy, że jego własna skala ocen, jego własna skala wartości jest tą słuszną i rzeczywiście wtedy możemy wybrać taką miarę, że powiemy, że Niemcy powinni tak rozmawiać z Polakami, żeby Polacy uważali to za poważne. Problem polega na tym, że to może być sprzeczne z oczekiwaniami innych.

To właściwie jest sedno tego, co chciałbym powiedzieć. Mianowicie, jeżeli chcemy coś porównać, jeżeli używamy takich sformułowań jak: powinni traktować poważnie, powinni być grzeczni albo niegrzeczni, powinni być rozsądni, itd., to zawsze możemy powiedzieć: Ok, jaka to jest skala porównawcza? Powinni być rozsądniejsi niż kiedyś byli? Powinni być rozsądniejsi od innych? To są te dwie możliwości, które są. Powinni, to jest oczywiście praktycznie nie do zastosowania w życiu realnym. Możemy mówić, że jest jakiś ideał rozsądnoci czy rozsądku i do tego dostosować, ale to zakłada z góry, że nie są w stanie go osiągnąć właśnie dlatego, że mówimy, że to jest ideał. Więc jaka może być nasza miara oceny, czy jakieś postępowanie jest właściwe lub nie. I to mi się akurat wydaje, że to ma zastosowanie w stosunku do jednostek, państw, narodów, społeczeństw, grup, itd. To jest to, czy nasze otoczenie akceptuje nasze zachowanie. To jest kwestia, czy my potrafimy się poruszać sprawnie nie tylko w stosunkach z jednym, bo to może nas tylko prowadzić do konfliktu z innymi, tylko to jest kwestia, czy my się poruszamy w jakimś szerszym kontekście tak sprawnie, że większość, albo nawet można by powiedzieć – absolutna większość – 95% naszych partnerów, sąsiadów, obserwatorów, itd. nie ocenia tego negatywnie.

Teraz wracam do punktu wyjścia, do historycznych debat i do polityki zagranicznej. W dużej mierze to kryterium zawsze, również w Niemczech, było kryterium oceny niemieckiej polityki zagranicznej. Krótko mówiąc, kiedy na przykład w 1992 albo 1993 roku przeszła fala podpalen przez Niemcy, kiedy domy dla azylantów płonęły, było bardzo dużo przemocy

wobec obcokrajowców, wtedy Holendrzy wpadli na pomysł, żeby podpisać masowo pocztówki do niemieckiego kanclerza, którym wtedy był jeszcze Helmut Kohl, „jesteśmy bardzo zatroskani, jesteśmy bardzo zbulwersowani zachowaniem niemieckiego społeczeństwa i potępiamy akty rasizmu i przemocy przeciwko obcokrajowcom w Niemczech”. Ciekawe jest to, że niemiecka opinia publiczna reagowała na to dość mieszanymi uczuciami. To znaczy, byli zarówno tacy, którzy uważali: to jest słuszne, my też tak uważamy i byli tacy, którzy mówili: to jest trochę nie na miejscu, patrzcie tam, co się u was dzieje. Akurat wtedy w Holandii nic się nie działo, ale reakcja zawsze jest taka. Natomiast w Holandii potem ta akcja została dość ostro skrytykowana przez Holendrów, przez opinię publiczną, w debatach publicznych, jako próba ustawienia się w roli sędziego, autorytetu, który jako jedyny może określać, jak się powinni zachowywać inni. Ale fakt faktem, że w tamtym czasie, w 1992 roku ten niepokój nie był tylko holenderski. On również objawiał się w Polsce, objawiał się we Francji, w Wielkiej Brytanii nie powiem, ale w kilku krajach ważnych z punktu widzenia geografii, stosunków politycznych, media, ludzie, politycy uważali, że Niemcy nie powinni się tak zachowywać i że trzeba coś z tym zrobić. To jest kryterium mojej oceny. Muszę powiedzieć, że w 1992 roku Niemcy byli źli. Holendrzy mają takie fajne powiedzenie, po polsku można powiedzieć, że coś jest dobre albo złe, a oni mówią ten jest dobry, ten jest zły – to jest takie bardzo dosadne. Wtedy Niemcy byli źli. Teraz jest kwestia, czy dzisiaj Niemcy w tych kategoriach są źli. Tu mam problem, jeśli chodzi o debaty, które się toczą w Niemczech, zarówno o historii jak i o tym centrum pszczoł w Berlinie, o niemiecką politykę w Unii Europejskiej. W tej chwili ja tej krytyki nie widzę poza Polską i poza tym być może w niektórych sprawach ewentualnie w Czechach. To mnie sprowadza do tego, że najwyraźniej ten kłopot musi być w Polsce. Dziękuję bardzo.

Albrecht Lempp:

Bardzo dziękuję panu Bachmannowi. O pszczołach i innych narodach. Wyobrażam sobie, że najpierw znowu koledzy z podium chcą jako pierwsi odnieść się do dotychczasowych wypowiedzi. Ktoś chciałby zabrać głos?

Kazimierz Wóycicki:

Nie chcę zaprzeczać tezom Piotra Burasa, bo się z nim zgadzam w jego opisie zmian kultury pamięci w Niemczech, chciałbym jednak to co powiedział uzupełnić i może uwyraźnić. Wydaje mi się, że Niemcy pod koniec lat 80 w Republice Federalnej Niemiec bardzo chcieli, żeby wreszcie mieć normalną pamięć, żeby już się tak strasznie cały czas nie biczować.

Do tego zmierzała w znacznym stopniu polityka Kohla, która napotykała opór m.in. wśród wielu historyków niemieckich. Spory wokół Domu Historii Republiki Federalnej Niemiec świetnie tego dowodzą. No i przyszło do tego zjednoczenie. Pierwsza rzecz, to chciano się rozrachować z NRD. Opozycjoniści wschodniemieccy chcieli się rozrachować z komunizmem tak jak z nazizmem. Wkrótce jednak byli oni w mniejszości, a historia NRD została zrozumiana trochę inaczej. Nie jako przedmiot rozrachunku, tylko źródło poczucia zwycięstwa. Mianowicie Niemcy, którzy mieli duże kompleksy, że nie mieli żadnej rewolucji, nagle zyskali nową rewolucję 1989 roku, co moim zdaniem dostarczyło całej świadomości niemieckiej pewnego argumentu na rzecz normalizacji. No tu mieliśmy demokrację, może ona była trochę tak, jak z klasy szkolnej, ale tu mamy jeszcze dowód, że my Niemcy lubimy wolność. Mamy wreszcie udaną rewolucję. Jeszcze drugi czynnik był bardzo istotny. Mianowicie moim zdaniem dyskusja o ofiarach zaczęła się od dyskusji o NRD. W dyskusji po tym pierwszym ogłoszeniu w prasie zachodniemieckiej – ta okładka tygodnika *Spiegel*, „Stasi-Gesellschaft” nagle spostrzeżono, że to jednak nie jest tak, że ernerdowcy to sprawcy. Zauważono, że Niemcy w Niemczech wschodnich to ofiary. To że były masowe, straszne gwałty na kobietach, że było tych 10 Speziallager, że było wywożenie młodzieży niemieckiej na Syberię, itd. To była pierwsza fala dyskusji o ofiarach niemieckich. Niewątpliwie ciężko pokrzywdzonych ofiarach. Następnie przyszedł bardzo istotny moment – 2003 rok. Najpierw książka Friedricha „Der Brand” i to drugie jeszcze, czego wydaje mi się Piotr nie docenia, a mianowicie każde większe miasto niemieckie zafundowało sobie pierwszą stronę własnej lokalnej gazety w rocznicę tego, jak było zbombardowane, z ogromnymi zdjęciami, wspomnieniami, itd. Żadna właściwie, jeśli chodzi o media dyskusja o historii nie miała takiej siły medialnej jak ta, bo to było przełożone na lokalne warunki. Trzeba dodać jeszcze, że ta prasa trafiała do młodych. Oczywiście wspomnienia ludzi starych były, ale czytali to ludzie młodzi, którzy często już tej intensywności dyskusji o okresie nazistowskim nie znali, bo po prostu ta dyskusja nie mogła być cały czas tak intensywna. Natomiast młodzi ludzie dowiedzieli się, jakie straszne było to bombardowanie miast niemieckich i mogli przeczytać u pana Friedricha, który, skądinąd ma wielkie zasługi w rozrachunku z nazizmem, że Churchill jest prawie tak zły jak Hitler i jest ludobójcą. Nawiasem mówiąc dopiero w tym momencie wkroczyła, dosyć pasożytniczo, pani Steinbach z problematyką wypędzonych i podniosła paluszek: ale my też jesteśmy ofiarami i zaczęła opowiadać o jakimś tabu, które rzekomo w tej sprawie było przez całe lata. I tak rozrachunek z NRD pomógł Niemcom powiedzieć sobie „jesteśmy już normalni”, również w tym sensie, że mogą być pokrzywdzonymi.

I to zdarzyło się z nierównoległością pamięci, w Niemczech i w Polsce. Mianowicie Polacy po 1989 roku postanowili do pewnego momentu nie rozmawiać o sprawach trudnych z Niemcami, bo zawieramy traktat, wchodzimy do Unii itd. Ale temat musiał wrócić, bowiem w istocie dopiero rok 1989 umożliwił Polakom otwartą dyskusję na te wszystkie tematy. Postanowili z Niemcami przeprowadzić poważną dyskusję na tematy niemieckie, na tematy wojny i zauważyli, że w tym rozrachunku niemieckim tego tematu polskiego brakuje. Czyli w tym momencie, w którym Niemcy się chcieli na dobre pożegnać z jakimś rozumieniem historii, to Polacy jak gdyby chcieli zacząć rozmawiać, a dodatkowo temat jeszcze został przez Centrum przeciw Wypędzeniom sam wywołany.

Ja, Klaus, się całkowicie nie zgadzam, że problem leży w Polsce. Problem jest bardzo poważny i nie jest polsko-niemiecki. Dlatego, że problem to jest konflikt pamięci pomiędzy Europą Środkową a Europą Zachodnią. To, jak zrozumieć II Wojnę Światową, tego żeśmy absolutnie nie przedyskutowali w Europie. Interpretacje, które znamy, są interpretacjami zimnowojennymi i one dotrwały aż do roku 2005, do rocznicy zakończenia wojny w Moskwie, kiedy Putinowi udało się narzucić własną interpretację i wszyscy ją uznali jako nie zastanawiając się specjalnie, czym właściwie jest. I oczywiście mamy przed sobą rok 2009 to, o czym mówił Piotr Buras, koniec epoki świadków, ostatnia rocznica, kiedy wybuch II Wojny Światowej będzie jeszcze w obliczu pokolenia świadków obchodzony – ostatnia rocznica.

Ten spór między Polakami a Niemcami jest europejskim sporem o rozumienie II Wojny Światowej. I pytania są bardzo poważne, Klaus. Jestem przekonany adherentem kultury anglosaskiej, który wierzy w zdrowy rozsądek i że Pan Bóg obdarzył nas jakimś takim zdrowym rozsądkiem, który niekoniecznie trzeba rozmywać w jakieś bardzo skomplikowane teoretyczne rozważania. Ten zdrowy rozsądek mówi nam o tym, że pytanie o to, czy II Wojna Światowa powinna być przez nas w Europie rozumiana jako wojna dwustronna między aliantami, wśród nich Stalinem, kontra Hitler, czy też była wydarzeniem, tragedią historyczną, w której było 3 aktorów – 2 straszliwych dyktatorów i zbrodniarzy i demokracje, to jest pytaniem dosyć podstawowym dla rozumienia nas samych i w ogóle demokracji europejskiej. I drugie takie pytanie, które zdaje się być polsko-niemieckim, czy na przykład jak Polacy mają spór z Moskwą o Katyń, to czy nie powinno to bardziej obchodzić Niemców? Otóż ja sądzę, że jeżeli nie obchodzi to Niemców, to w ogóle nie dyskutujemy poważnie w Europie o historii. Sądzę, że my ten spór w Europie stoczmy, ponieważ chcemy zbudować Europę. Chciałbym, żeby Polacy dzięki sile argumentów, a nie okazywanym emocjom, byli

znacznie bardziej przekonujący. Najrozmaitsze lobby pamięci, które występują w Europie, trzeba by je zidentyfikować i oczywiście jest coś takiego jak polskie lobby pamięci, polski punkt widzenia, który nie ma monopolu na prawdę, ale warto też się zastanowić, jakie są inne punkty widzenia. Jaki jest na przykład punkt widzenia części zachodniej lewicy, która ponosi winę za ślepotę na komunizm i na to, co się działo w Europie Środkowej i, na przykład, z wschodnioniemieckimi opozycjonistami znakomicie się w tej sprawie rozumiemy. Są Niemcy, którzy znakomicie rozumieją, że sprawa rozrachunku z NRD poszła jakoś dziwnie w bok i Niemcy mają z tym duże trudności. Mnie się wydaje, że w Polsce jesteśmy znacznie dalej w rozrachunku z komunizmem niż to się stało w NRD, mimo ogromnego instytucjonalnego tam zaplecza. W Polsce to się traktuje znacznie poważniej. Natomiast badania opinii publicznej, bo to ważne, co myślą społeczeństwa, otóż społeczeństwo zachodnioniemieckie nie obchodzi w zasadzie przeszłość komunistyczna NRD, natomiast w Niemczech Wschodnich jest dominująca nostalgia za NRD. A u nas dyskutujemy o Wielgusie, o odpowiedzialności pisarzy, którzy dali się wciągnąć bezpiece itd. To jest bardzo poważna dyskusja, która się staje coraz poważniejsza dla tego społeczeństwa. Ale też jest bardzo poważna dla Litwy i Ukrainy. Nie można nic zrozumieć z Ukrainy, jeżeli nie zacznie się o tym dyskutować. Ja sądzę, że mamy tę dyskusję o tym konflikcie pamięci między wschodnią Europą, która przeżyła zupełnie inną historię niż Europa Zachodnia, inaczej również przeżyła II Wojnę Światową. Ta wojna zakończyła się dla Europy Środkowej w 1989 roku. Przed nami jest fundamentalny spór o kształt pamięci europejskiej, o samą Unię Europejską. A w środku tego sporu są Polacy i Niemcy.

I dlatego Centrum przeciw Wypędzeniom budzi takie emocje. Sam napisałem, że nie przesadzajmy, żeby się bez przerwy tym interesować, stwórzmy własną ideę interpretacji historii, a nie tylko reagujmy na tamtą. Powiem jednak tak, mamy do czynienia z niemieckim nacjonalizmem. Pani Steinbach jest niczym innym jak zwykłą, przeciętną, europejską nacjonalistką, pan Fromme nie jest niczym innym jak niemieckim nacjonalistą i cała komisja 30 posłów w Bundestagu, której przewodniczy jest zabarwiona nacjonalistycznie. Tylko w Niemczech nie można tego tak nazwać. To by było wobec Niemców straszne, bo jak się powie Niemiec nacjonalista, to zaraz hitlerowiec. Nie, przeciętny, zgrzebny, głupi europejski nacjonalizm. W tym wypadku niemiecki, ale chcę powiedzieć europejski, że rozpowszechniony w Europie jako zjawisko, bo Europejczycy cierpią na swoje nacjonalizmy. I ze strony niemieckiej źle nam doradzasz, bo ja powiem otwarcie, że czuję się oszukany przez wielu niemieckich przyjaciół z CDU, którzy 5, 6, 7 lat temu, kiedy zaczęła się cała ta

historia z panią Steinbach, mówili: „nie przejmuj się, wiesz ona nie ma znaczenia”. No w porządku. Nie ma może takiego znaczenia jak czasem na pierwszych stronach polskich gazet, nie ma może takiego znaczenia jak gość Fundacji Adenauera w Warszawie w 1 programie telewizji. Może należało jej nie zapraszać. Tym niemniej jest członkiem zarządu tej partii i tym niemniej w programie koalicji rządowej jest pewne poparcie dla jej idei, więc nie bujajmy się. Może ona nie ma aż takiego znaczenia, jak się jej w Polsce przypisuje, ale znowu nie jest tak bez znaczenia, że nikt się z nią w Niemczech nie liczy, zwłaszcza w CDU. Więc rozmawiajmy o tej sprawie szczerze i twardo. Wiesz, twoje rozważania o pszczelarzach, Ok, ale Związek Wypędzonych to nie jest związek pszczelarzy tylko residuum niemieckiego nacjonalizmu. Bardzo ważna instytucja w życiu niemieckim, jeśli chodzi o integrację kilku milionów ludzi, ale jednocześnie residuum tego, co z niemieckiego nacjonalizmu po wojnie zostało. Zresztą prasa niemiecka o tym też pisze, jak np. *Spiegel* itd. I właśnie w Niemczech krytykują. Sądzę, że i w Niemczech można być już nacjonalistą, bo taka jest niestety europejska norma. Ja natomiast miałem nadzieję i to jest aneks do tego, co powiedziałem, że Niemcy ze swoim bagażem 1933-1945 i ze swoją możliwością rozrachunku z okresem NRD stworzą tak jak Timothy Garton Ash DIN-normę, rozrachunku z nacjonalizmem. Niemcy jednak wolą być normalnymi Europejczykami, to znaczy pozwolić sobie na trochę nacjonalizmu.

Albrecht Lempp:

Bardzo dziękuję. Piotr Buras musi opuścić nas za 10 minut. Dajmy mu więc 10 minut, żeby mógł jeszcze zająć stanowisko. Potem możemy kontynuować dyskusję.

Piotr Buras:

Chciałbym ustosunkować się do trzech kwestii, o których mówił Kazik. Pierwsza rzecz dotyczy tego, czy zmiany w stosunku do przeszłości w Niemczech rzeczywiście są związane z rozrachunkiem z NRD. Otóż ja uważam, że nie. Wydaje mi się, że pamięć o NRD i miejsce tego rozdziału historii niemieckiej dzisiaj w pamięci zbiorowej niemieckiej są bardzo słabe. Co więcej, cezura 1989 roku, która w polskim dyskursie, w polskiej kulturze politycznej jest cezurą fundamentalną, w Niemczech funkcjonuje na innych zasadach. Używa się słowa „Wende”, które bardzo osłabia wymowę tej cezury. Nie mówi się na przykład o rewolucji 89 roku, co często jest przedmiotem zarzutu właśnie choćby ze strony tej młodszej generacji intelektualistów, o której mówiłem. Oni mówią, że 1989 rok powinien być takim mitem założycielskim nowych Niemiec, niejako zamiast 1945. To, że się tak nie stało, uważają za

duży błąd. Ale z drugiej strony chyba mogę sobie wyobrazić reakcje polskie na taki postulat, żeby właśnie 1989 rok był tym głównym punktem odniesienia, a nie 1945. Za tym też kryją się więc pewne pułapki. Przede wszystkim myślę, że to nie rozliczenie z NRD było głównym źródłem zmiany klimatu wokół przeszłości. Jednak obstawałbym przy tym, że elementy, które tutaj wymieniałem, miały większe znaczenie.

Drugi punkt dotyczył kwestii zainteresowania problematyką niemieckich ofiar. Mówiłeś słusznie o tych miastach, które rozpamiętują tę przeszłość. Ale powiedziałaś też, że to ma duży wpływ na całe społeczeństwa czy na młode pokolenie. Ja mam zdystansowany stosunek do badań opinii publicznej, ale akurat mam pewne dane: w 2005 roku z okazji 60-lecia zakończenia II Wojny Światowej Allensbach robił taką sondaż i tam było pytanie: „Z czym się kojarzy Państwu data 8 Maja 1945 r.?” Była cała lista różnych skojarzeń i każdy mógł zaznaczyć dowolną ich liczbę. Wyniki były takie, że 74% Niemców kojarzy koniec wojny z początkiem odbudowy, 69% z gruzami, 63% z wyzwoleniem obozów, 60% z wyzwoleniem od dyktatury nazistowskiej, 34% z klęską wojenną, 43% myśli wtedy o wypędzeniu. Ale, co ciekawe, jeśli chodzi o skojarzenia dotyczące na przykład wyzwolenia od dyktatury nazistowskiej, to różnice pokoleniowe nie mają żadnego znaczenia. Oznacza to, że 60-70%, czy młodzi czy starzy, twierdzi, że 1945 im się kojarzy z wyzwoleniem. Ale jeśli chodzi o skojarzenia z nalotami bombowymi, z wypędzeniem, z obozami jenieckimi, z okupacją Niemiec, to jest zasadnicza różnica między starszym, a młodszym pokoleniem. Na przykład w przypadku nalotów bombowych 74% ludzi powyżej 50 roku życia mówiło, że im się koniec wojny kojarzy właśnie z nalotami, ale już tylko 46% trzydziestolatków tak twierdziło. W przypadku wypędzenia ta relacja była 56% : 24%.

Ostatnia, trzecia sprawa. Tak, dobrze, że powiedziałaś bardzo otwarcie o niemieckim nacjonalizmie, to znaczy o tym, że wypowiedzi Eriki Steinbach czy posła Fromme mieszczą się w takiej kategorii europejskiego nacjonalizmu, który z nazizmem moim zdaniem ma wspólnego niewiele, czy też w ogóle nic w większości przypadków. Natomiast jest to pewien przykład normalnego nacjonalizmu europejskiego, który jest częścią dzisiejszej niemieckiej kultury politycznej. Myślę, że też nie uważasz, że to jest dominujący nurt, czy to w jakiś zasadniczy sposób zmienia obraz tego społeczeństwa jako całości. Natomiast jest to bardziej widoczne w debacie publicznej niż niegdyś. Ale to się bierze z tego, o czym wcześniej mówiłem, czyli z tego odpolitycznienia kwestii pamięci i poluzowania politycznej poprawności. Pewne rzeczy wychodzą bardziej na powierzchnię, ale w dalszym ciągu to jest

tylko jeden z tych wielu nurtów, a nie dominujący, które składają się na pluralistyczny obraz tego dyskursu o przeszłości.

Moim zdaniem to, że ten niemiecki nacjonalizm dzisiaj jest w większym stopniu tolerowany przez niemiecką klasę polityczną, przez jej elity wynika z daleko idącej pewności, że niemiecka demokracja jest trwała. Panuje przekonanie, że Niemcy są takim samym krajem jak wszystkie inne kraje europejskie. Jeżeli ktoś chciałby przeczytać sobie wykład tego sposobu myślenia, to odsyłam do przemówienia Horsta Köhlera z okazji 8 maja 2005 r. To jest wykład nowego sposobu myślenia o Niemczech, o tym, że obok tej pamięci o III Rzeczy stoi pewność siebie, że my mamy „Begabung zur Freiheit”, tak właśnie się nazywa to przemówienie, że my jesteśmy utalentowani, uzdolnieni do wolności. Dowiedliśmy tego w ostatnich 60 latach. Łączy się z tym, co można by nazwać grubą kreską („Schlussstrich”). Ale taka, która nie polega na całkowitym odcięciu się od przeszłości czy też jej zakwestionowaniu, lecz na stwierdzeniu, że zakończył się pewien etap i odtąd Niemcy powinny być oceniane za pomocą takich samych kryteriów jak inne europejskie społeczeństwa. Moim zdaniem jest to w tej chwili podstawa nowego konsensusu w niemieckim myśleniu o tych sprawach.

Klaus Bachmann:

Ja nie chciałem polemizować z Kazikiem. Ja chciałem tylko dodać, że on pisał książkę, w której wychwala niemiecki „Vergangenheitsbewältigung” jako unikalne, jako ten europejski DIN czy coś takiego. Ja potem pisałem książkę, w której próbowałem udowodnić, że wcale tak nie jest, tylko, że to, co Niemcy robili jest czymś, co można porównać z tym, co robili ich zachodni sąsiedzi i że to przebiegało nawet w bardzo podobnych fazach jak w całej Europie Zachodniej. To tylko tak na marginesie dla tych, którym się tak podobała ta dyskusja przed południem o tym, co Niemcy powinni mówić o Niemczech i Polacy o Polsce, więc to się tu kompletnie rozmywa i zakręca.

Wracając do mojego głównego wątku, do pszczelarstwa. Ja nie jestem w stanie powiedzieć, czy niemiecki związek pszczelarstwa jest dzisiaj ważny lub nieważny. Ja tylko twierdzę, że on dzisiaj jest zdecydowanie mniej ważny niż kiedyś. Zdecydowanie jest mniej ważny niż w latach 50, kiedy stworzył własną partię, która miała wpływ na decyzje rządowe, w którym rząd popierał postulaty otwarcie kwestionujące granice. Zdecydowanie jest mniej ważny niż w latach 90, kiedy niemiecki Związek Pszczelarstwa wysłał swoich emisariuszy do

mniejszości niemieckiej na Śląsku, żeby tam zorganizować plebiscyt na temat przynależności Śląska Opolskiego do Polski, do Europy i chyba coś tam jeszcze z jakąś autonomią było, to znaczy ani do Polski ani do Europy. I to referendum rzeczywiście zostało przeprowadzone, tyle że wyniki były tak mierne, że nikt nigdy ich nie opublikował. Krótko mówiąc, w tamtym okresie Związek Pszczelarstwa otwarcie kwestionował granice polskie, integralność terytorialną Polski i starał się nam zafundować, trzeba to tak nazwać, irredenta. To się spotkało z pewnym odzewem. I jeżeli ja to teraz porównuję z tym, co Związek Pszczelarstwa teraz buduje w Berlinie, to muszę powiedzieć, że na razie nie jest to żadne zagrożenie dla integralności terytorialnej Polski ani nie jest to żadna irredenta. O to mi chodzi. Oczywiście nadal jest otwarte, czy to jest ważne czy nieważne. Tylko twierzę, że relatywnie to on jest dzisiaj zdecydowanie mniej ważny niż wtedy, ale jakoś wzbudza w Polsce znacznie większe emocje niż nawet jeszcze w roku 1990. Proszę pamiętać, wtedy wszyscy pisali o uznaniu granicy przez Kohla i potem o wspólnocie interesów, a tam się działy zupełnie inne rzeczy. Natomiast czy w ogóle tak absolutnie jest ważny, nominalnie...nie wiem.

Następny punkt. Ja się zgadzam z Tobą, że to nie jest problem polsko-niemiecki. Właściwie do tego zmierzam. Ja mam taki problem, że te dyskusje polsko-niemieckie mi się robią za ciasne. To jest taki grajdołek polsko-niemiecki, gdzie wszystko jest rozpatrywane tylko w tym kontekście, a nikt nie patrzy na to, czy gdzie indziej w Europie nie dzieją się bardzo podobne rzeczy, a dzieją się. Więc ja myślę, jeżeli chodzi o kwestie stosunku do przeszłości, co do II Wojny Światowej, to rzeczywiście mamy do czynienia z takim konfliktem trochę na osi Wschód-Zachód. Może nie we wszystkich przypadkach, ale to pokazuje na przykład wypowiedź tej pani komisarz unijnej z Łotwy...

Kazimierz Wóycicki:

...myślisz w tej chwili o wystąpieniu pani minister z Łotwy na targach książki w Lipsku, kiedy ona porównała zbrodnie nazistowskie ze zbrodniami sowieckimi i powiedziała, że u niej w kraju gorsze były zbrodnie sowieckie od nazistowskich. To wywołało wtedy niebywały protest w Niemczech.

Klaus Bachmann:

I w Europie Zachodniej, we Francji pamiętam, gazety były pełne tego.

Kazimierz Wóycicki:

To jest rok 2003.

Klaus Bachmann:

Dzięki, tak. Ja myślę, że to jest taki moment, w którym to się pokazuje i myślę, że w przyszłości będzie tego więcej. Ja też nie jestem w stanie rozstrzygnąć, kto tu ma rację. Ja wiem tylko, że jak jadę do Niemiec i chcę zwiedzać muzeum ludobójstwa, no to trafię na muzeum holocaustu. Jak jadę na Litwę, być może na Łotwę też – tam jeszcze nie byłem, i chcę zwiedzać muzeum ludobójstwa, no to tam jest muzeum ludobójstwa na narodzie litewskim przez KGB w latach 40, 50. Tak to wygląda. O Żydach tam mowy nie ma. Jak jadę na Ukrainę i zwiedzam muzeum ludobójstwa, to mam do czynienia z muzeum, które się zajmuje wielkim głodem w latach 30-tych. Ja nie jestem w stanie rozstrzygnąć, kto tu ma prawo, żeby dane wydarzenie nazywać ludobójstwem. Być może wszyscy. Ale to wtedy ci nie mają racji, którzy się tak oburzają. To rzeczywiście mi się wydaje, że to jest znacznie szersze i tu mamy różne narodowe punkty widzenia: łotewski, litewski, polski, niemiecki itd. Jeżeli wszyscy będziemy się uczyć historii tych pozostałych krajów, to potem już możemy zawierać kompromis. Nie wiem, czy filozoficznie jest to możliwe, czy można na temat prawdy zawierać kompromisy. Ale nie na tym polega problem. Problem polega na tym, że bardzo często w tych dyskusjach się zakłada, że Polacy patrzą na to tak, Niemcy patrzą na to owoak. Wobec tego powinniśmy to przedyskutować i ustalić wspólną wersję. Tylko że ja nie jestem w stanie rozstrzygnąć, kto tu ma rację, tylko chcę pokazać pewien mechanizm, który funkcjonuje. Mianowicie, że w bardzo wielu przypadkach po niemieckiej stronie nie ma niemieckiej strony. To znaczy, Niemcy nie przyjmują tego punktu widzenia, czy tej perspektywy narodowej, którą powinni przyjąć tak, żeby Polacy mogli z nimi zawierać kompromis. Na czym to polega? Ja bardzo często robię tak ze studentami jak mam mieszane grupy, tj. Polaków i Niemców, że każę im o tych najgorętszych sprawach, o Centrum przeciw Wypędzeniom na przykład dyskutować – najczęściej trzeba młodym Niemcom najpierw wyjaśnić, co to jest. Polacy wiedzą. I notuję to, a potem im pokazuję, kto użył jakich sformułowań. W 90% jest tak, że Polacy używają terminologii kategorii zbiorowych. Mówią o wielkich grupach – my Polacy, wy Niemcy, naród, mniejszość, itd. Niemcy, w 90% przypadków używają terminologii indywidualistycznej tak, jak Piotr to opisał. Oni nie mówią, że Niemcy byli ofiarami tylko, że kobieta była ofiarą. Oni nie mówią, że Niemcy zostali zbombardowani tylko, że kobiety i starcy, którzy nie byli na froncie zostali zbombardowani itd. Oni w ogóle nie przyjmują tej kategorii, którą im proponują Polacy i odwrotnie też. Jeżeli oni słyszą ze strony swoich polskich kolegów, że mają do cholery argumentować z

perspektywy narodowej, to oni mówią, że to jest nacjonalizm. To nie jest nacjonalizm. To jest perspektywa narodowa. Jeżeli mam taką perspektywę, to dzielę świat na narody. To nie znaczy, że ja muszę zawojować innych, uważam, że wszyscy inni są nic nie warci i że zaczynam wojnę z nimi, tylko że to jest pewna perspektywa. Tak samo jak oni robią po niemieckiej stronie. Ci studenci argumentują, że to były bezbronne ofiary, to są jednostki. My mówimy nie o narodzie, to jest trochę tak niemodne u nas, my mówimy o społeczeństwie, to Polacy na to reagują i mówią: oni uciekają od odpowiedzialności, oni się rozmywiają w jakies jednostki, których już nie można obarczyć odpowiedzialnością za historię i to jest ten dowód właśnie na to, że Niemcy relatywizują historię. Tylko problem polega na tym, że żadna z tych stron nie przyjmuje kategorii tej drugiej, bo one się nawzajem wykluczają. Jak ja bym chciał jako wykładowca na uczelni, żeby wystarczyło dyskutować, kazać im czytać podręczniki o Katyniu w Niemczech i wtedy to już będą rozumieć tych Polaków, to by było bardzo fajnie. Tylko tu jest problem, że zamiast 6 książek o Polsce, które teraz leżą w księgarniach niemieckich, gdyby tam było 200 albo 250, to nadal pozostaje problem, kto to czyta. To nie jest problem, żeby wydać gazetę w Niemczech, która codziennie drukuje same pozytywne wiadomości o Polsce. Oczywiście specjalnie przejawiam. Wszyscy wiemy, że nikt by takiej gazety nie czytał, więc zmusić ludzi do tego nie możemy! Zmusić ich nie możemy, ponieważ to, o czym dyskutujemy w odniesieniu do historii i jak to robimy, nie zależy od tego, jaka ta historia była. To zależy od tego, w jakiej sytuacji znajdujemy się dzisiaj. Historia jako taka nie ma sensu.

W latach 50 w Niemczech wszystko było narodowe. Ta perspektywa narodowa była wszechobecna. Można otworzyć gazetę z lat 50, żeby było ciekawie, zarówno w NRD jak i w RFN i wszystko było opisane w kategoriach wielkich zbiorowości. Naród, partia, państwo itd. Dzisiaj otwieramy gazetę, obojętnie gdzie w Niemczech, kto jest na pierwszej stronie? Jednostka. Rząd już nic nie robi w Niemczech. Niemcy już nic nie robią. Kanclerz Schröder, kanclerz Merkel coś robi. Niemcy nie są ofiarami, grupy nie są ofiarami. Ofiara to jest poszczególny człowiek, który wczoraj został przejechany przez czołg na przykład. Tak, jak to jest w *Bild-Zeitung* albo w *Fakcie*. Tak to się zmienia, a ponieważ to się zmienia, to my reinterpretujemy w tym świetle naszą historię. Co my teraz robimy w Niemczech? My teraz patrzymy na historię III Rzeczy w kategoriach społeczeństwa obywatelskiego, bo budujemy społeczeństwo obywatelskie na tych wartościach. Te wartości przenosimy z powrotem do historii. Dlatego powstają takie pytania, dlaczego wy tam rodzice, dziadkowie itd. nie pomagaliście Żydom? Dlaczego nie mieliście odwagi cywilnej? Proszę zajrzeć do jakiegoś

podręcznika lat 1930 czy 1940, do jakiegoś leksykonu w Niemczech, czy tam się pojawia w ogóle kategoria „odwaga cywilna”. W tamtym okresie odwaga była czysto wojskowa. Odwaga polegała na tym, że się dostało rozkaz i się dało zabić za to. Nie było żadnej osobistej odpowiedzialności. Ona była delegowana do przywódcy. W skrajnym przypadku do Hitlera. Dlatego to społeczeństwo funkcjonowało. Gdyby wtedy ktoś przyszedł i powiedział: „A czemu nie masz odwagi cywilnej ratować Żydów”, ludzie by w ogóle nie zrozumieli skąd się bierze ta kategoria. Tak samo, jakbyśmy im dzisiaj powiedzieli, że w niemieckim wojsku mają teraz szorować podłogę pastą do zębów. W kategoriach odwagi wojskowej i podporządkowania się rozkazom, że uznaje się każdy autorytet, jeżeli tylko nosi mundur to nie jest nic dziwnego – kazał, to trzeba, widocznie to ma sens, nie moja sprawa to oceniać.

Albrecht Lempp:

Bardzo dziękuję. Myślę, że oberwę cięgi, jeśli nie dopuszczę głosu z publiki. Proszę, pani Kierzkowska.

Anna Kierzkowska:

Od 10 lat pracuję w Fundacji Friedricha Eberta w Warszawie, ale tym razem chcę powiedzieć parę słów osobiście, nie reprezentując żadnej instytucji. Ponieważ jesteśmy w gronie osób sobie znanych, dopuszczalna jest, jak sądzę, prywatna wypowiedź na tematy poruszane. W tej roli chciałabym się odnieść częściowo tylko do tego, co powiedział pan Piotr Buras, a potem ogólniej podzielić się paroma przemyśleniami o tym, co zostało powiedziane.

Wydaje mi się słuszne to, co pan Piotr Buras powiedział, że jest pewna zmiana narracji dotyczącej przeszłości w Niemczech i że ta zmiana jest teraz bardziej indywidualistyczna. Ja bym się przy okazji tej tezy chciała również zastanowić, jak narracja dotycząca przeszłości wyglądała w Polsce. Wydaje się, że rozpatrując takie pojęcie jak wolność, to wolność w rozumieniu polskim miała swe źródło w indywidualizmie. Czyli zaangażowanie osobiste na rzecz wolności od czegoś, np. wolności od zaborcy, wolności od systemu komunistycznego. Natomiast można by postawić taką tezę, że wolność w Niemczech jest rozumiana jako wolność do czegoś, to znaczy wolność do dążenia, aby osiągnąć konkretne cele. Po II Wojnie Światowej ta wolność była nierozdzielnie związana z pojęciem bezpieczeństwa, stabilizacji, demokracji. Niemcy osiągnęły obecnie taki stopień stabilności demokratycznej, systemu demokratycznego, że mogą sobie pozwolić na to, aby właśnie dopuszczać do debaty publicznej wątki narodowe, żeby swoją tożsamość budować na własnych osiągnięciach i

własnej powojennej tożsamości. Z taką sytuacją w Niemczech wiąże się jednocześnie pewien niepokój, który jest obecny w Polsce i który trzeba by nazwać. Otóż podejście w Polsce do narracji historycznej, oprócz tego, że było indywidualistyczne, wychodzi również z założenia, że to my mamy niepisany monopol naprawdę historyczną. Upoważniają nas do tego cierpienia podczas II Wojny Światowej, a fakt, że się pojawia w Niemczech nowy typ narracji, wywołuje w Polsce pewien niepokój. Niepokój o to, że ta dotychczasowa polska narracja zostanie podjęta przez Niemcy i że zostanie przez głos niemiecki zdominowana, a tym samym, że głos Polski nie będzie brany pod uwagę.

Jeżeli jesteśmy tutaj wśród ekspertów, którzy zajmują się tematami polsko-niemieckimi, to warto by się zastanowić, jak my mamy prowadzić dialog z Niemcami, żeby również wątki, perspektywę i polską narrację historyczną w niej uwzględnić. Powstaje jednocześnie pytanie, w jakim celu mamy to robić? Osobiście nie podzielam poglądu, żeby celem zajmowania się historią był kompromis, dlatego że trudno by było do niego dojść w atmosferze wzajemnych nieporozumień i nieznajomości historii. Natomiast możemy starać się wbudować historyczną narrację Polski w narrację indywidualistyczną, która jest obecna w Niemczech. Robić to nie w celu znalezienia kompromisu, lecz aby lepiej zapoznać się z rozumieniem historii przez sąsiada, również by móc przedstawiać fakty historyczne, a na argumenty drugiej strony znajdować odpowiedź ugruntowaną w faktach.

Klaus Bachmann stwierdził, że właściwie nie ma obiektywizmu w tej narracji, czy jeśli chodzi o pracę dziennikarzy czy pracę historyków, że takiego obiektywizmu nie ma, że istnieje tylko subiektywizm. Postawił też pytanie, gdzie są granice dostarczania pewnych informacji na temat drugiego kraju, czy na temat przeżyć II Wojny Światowej, gdzie są te granice, że można powiedzieć: informacji już wystarczy? Moim zdaniem warto pamiętać, że nie ma co prawda obiektywizmu, ale że istnieje bardzo duża przepaść między subiektywizmem a posługiwaniem się pewnymi stereotypami. Dziennikarz, oczywiście, jest subiektywny, natomiast nie powinien się w swojej pracy posługiwać pewnymi stereotypami, które zaogniają dyskurs. Dziennikarz piszący o polskich tematach w prasie niemieckiej warto by pamiętał o postawie moralnej rozpowszechnionej w Polsce: granice mojej wolności kończą się tam, gdzie się zaczyna wolność innego człowieka. Wystarczy, że to jest jeden człowiek, a nie koniecznie większa część społeczeństwa, któremu nadepnięto na odcisk, żeby zaczął krzyczeć. I to jest po prostu ta indywidualna przestrzeń wolności. Dlatego też Polska zaczyna krzyczeć, ponieważ jej w tym dyskursie indywidualistycznym, w tym dyskursie o

historii rzeczywiście na pewne odciski nastąpiono. Czas więc by się zastanowić w naszym gronie, jak tę narrację wspólnie prowadzić, żeby nie zaostriąć, tylko wyjaśniać pewne zjawiska. Moim zdaniem rolą dziennikarza jest nie tylko informować, ale także budować nowe kanały informacji. Najłatwiej jest bowiem poszukiwać w świecie zewnętrznym potwierdzenia dla własnych stereotypów przeniesionych z przeszłości, z domu, z ulicy, a najtrudniej jest oderwać się od nich. Po obu stronach.

Kazimierz Wóycicki:

Klaus, mam tylko jedną uwagę bez większej polemiki. Za bardzo chyba relatywizujesz. Oczywiście, jak się czyta prasę lat 50-ych, to jest inny język i każdy historyk wie, że nie można przenieść naszych kryteriów oceny jakiegoś artykułu prasowego z dzisiejszej epoki na język lat 50-ych, który w całej Europie był bardziej narodowy. Posługiwano się innymi kategoriami. Nie trzeba tu wprowadzać kategorii względności, tylko trzeba wprowadzić warsztat, poprawny warsztat historyka, który to wie, że język publiczny ulega bardzo poważnym zmianom.

Możesz, Klaus, zadawać pytania, czy ja bym był zadowolony, jakby było 15%, a może 14% itd. Można w taki sposób dyskutować, ale po prostu wystarczy wziąć te podręczniki i przeczytać i nie ma czego relatywizować. Mogę wam opowiedzieć pewną przygodę. Zrobiono takie badania na temat Saksonii. Referował je przedstawiciel Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Saksończycy byli obrażeni, bo powiedzieli, że my napadamy na Saksończyków, a dlaczego tego nie robimy z innymi landami. Odpowiedź było prosta: akurat trafiło na Saksonię. Ale byli bardzo uczciwi – sami zrobili takie badania. Mało tego, że zrobili. Po pół roku przesłali mi e-mail i napisali, że to jest jeszcze gorzej niż w tym raporcie Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Więc z nauczaniem o Polsce i Europie Środkowej jest po prostu fatalnie. To się ciągnie od XIX wieku i są też bardzo poważne badania naukowe na temat stereotypów itd. Ja traktuję to wszystko, co się dzieje w tej chwili, jako takie przejściowe burze w stosunkach polsko-niemieckich. Natomiast jest czas, żebyśmy w Europie zadali pytanie, nie Polacy Niemcom, tylko wspólnie i razem, jak to jest z tym stereotypem Wschodu w Niemczech. Jak to jest? I co z tym robią w integrującej się Europie poważne instytucje, jakimi są instytucje szkolne, poważne badania zawartości mediów itd. Jesteś też naukowcem, to wiesz, że jest badanie czegoś takiego jak badanie strukturalne, badanie dominującego dyskursu itd. i nie wszystko się relatywizuje i można pewne rzeczy powiedzieć po przeanalizowaniu 100 czy 200 artykułów, zbadać pewną siatkę pojęć. Były

takie badania np. nad tygodnikiem *Spiegel*, który w badaniach obiektywnych, naukowych został jednoznacznie oznaczony jako ksenofobicznie antypolski i on taki jest. Rozmawiałem na ten temat z redaktorami *Spiegla*. Oni to tłumaczą bardzo fajnie, mówią: „My wobec wszystkich tacy jesteśmy”. Tylko to też nie można znowu wszystkiego relatywizować, bo jak *Rzeczpospolita* będzie bardzo złośliwa wobec jakichś polskich zjawisk, to jest co innego, jak będzie tak złośliwa wobec Ukraińców. Tu trzeba zdrowego rozsądku. Ja sądzę, że my Polacy ponosimy winę polegającą na tym, że tych spraw, które są trudne w stosunkach polsko-niemieckich nie formułujemy i nie badamy. Pierwsze porządne badania to są badania Instytutu Spraw Publicznych. Zostały powtórzone dwa razy. Moim zdaniem one powinny być powtarzane co dwa lata, systematycznie i dyskutowane. Powinniśmy odważnie stronie niemieckiej pewne rzeczy mówić. Jakiej stronie niemieckiej? Instytucjom szkolnym, czasem rządowym, państwowym, itd. Takiego dialogu z Niemcami w Polsce w tym sensie trzeba się nauczyć. Jestem natomiast przeciwko pokrzykiwaniu na stronę niemiecką, z czym niestety mamy czasem do czynienia.

Teraz, powiedziałaś o tych sprawach zbiorowości itd., Klaus. Otóż ja się czuję obywatelem polskim. Natomiast uważam, że jak ktoś jest zbyt indywidualistą, to jest to żadna zaleta, dlatego że jak jest się obywatelem danego kraju, to do czegoś zobowiązuje. Ja jestem członkiem pewnej drużyny, którą reprezentuję. Ja nie muszę wcale jej zachwalać, ale ją jakoś reprezentuję, jakoś ponoszę odpowiedzialność, za to, co tu się dzieje. Ta identyfikacja, kiedy ona jest nacjonalistyczna jest absolutnie zła, ale wtedy, kiedy jest brak i jest całkowitym indywidualistą i mnie w ogóle nie obchodzą zachowania zbiorowości, to tym samym rozsupłujemy materię samej polityki, opinii publicznej i to jest też równie niedobre. Ja jednak podejrzewam, że w Niemczech czasem dzieje się to poprzez pewną ucieczkę.

A poza tym jeszcze jedno. Jest poczucie smaku i to poczucie smaku w Niemczech bardzo często jest gubione. Bardzo często, to jest doświadczenie powszechne, Niemcy, którzy byli wypędzeni opowiadają o swoich cierpieniach. Myśmy zaczęli zastanawiać się nad przyjeżdżającymi grupami niemieckimi i co one robią. To są bardzo ciekawe grupy, które przyjeżdżają do tych miejsc, z których pochodzą i w gruncie rzeczy wszystko jest pożyteczne, ale oni bez przerwy opowiadają o tym, czego doznali i właściwie nigdy nie zadają pytania: a czego doznali Polacy? Nie mają takiego odruchu. Polacy wysłuchują, bo są zainteresowani kontaktami, bo mieszkają w tych byłych niemieckich miastach, ale w tej całej populacji wypędzonych jest bardzo mało takiej wewnętrznej kultury. No dobrze. Ja przyjeżdżam do jakiegoś miejsca, jakichś ludzi, opowiadam swoją historię, ale może ci drudzy przeżyli coś



takiego, o co ja powinienem się też spytać, a nie opowiadać tylko o tym, co ja wycierpiałem. I to jest nagminne doświadczenie.

Ja myślę, że powinniśmy się tym wszystkim zająć, zacząć to porządnie badać i położyć to na stół. Nie po to, żeby się pokłócić i masz oczywiście rację, że gdzieś w tym wszystkim nie ma Niemców i Polaków, tylko są najrozmaitsze lobby, czasem niektórym Polakom jest bliżej do jakichś Niemców, niż do własnych rodaków, czasem Niemcom do niektórych Polaków. Paradoksalnie pani Steinbach jest z panem Giertychem bardzo blisko w jakichś kategoriach. Słabością polskiej strony jest, że nie prowadzi odpowiednich badań i nie wyklada odpowiednio dobrze argumentów na stół. Polacy się czasem irytują i wywalają w złości pewne rzeczy, gdy trzeba by mniej emocji a więcej argumentów. Natomiast relatywistą nie chcę być, bo to nie prowadzi do żadnej dobrej polityki. Nauczmy się w dialogu polsko-niemieckim po obu stronach dobrze argumentować. To znacznie lepsza droga do zbliżenia niż emocje.

Krzysztof Tokarz:

Nie będę zbyt długo zabierał głosu, Państwa cennego czasu, ale ja mam konkretne pytania w związku z wypowiedzią pana Klausa Bachmanna.

To porównanie z pszczelarzami bardzo mi się podobało, bo bardzo kolorowe, socjotechnicznie wręcz znakomite. Pan powiedział w kontekście takim, że Polacy mają z Centrum przeciw Wypędzeniom problem. Tu ja się z Panem w 100% zgadzam. Rzeczywiście Polacy mają tutaj pewien problem, nie ma co ukrywać i chyba w tym jest problem tak naprawdę. Kompleks całego wysiedlenia, wypędzenia, bombardowań to jest tak naprawdę skutek II Wojny Światowej. To jest de facto wewnętrzny niemiecki problem, który został zepchnięty trochę na Polskę i Czechy. Z tym Polacy sobie być może nie radzą. Nasza dyskusja w Polsce o tym też nie jest idealna, być może zbyt emocjonalna. Otóż tutaj pojawia się argument ilościowy, czy pani Steinbach i związek pszczelarski nazwijmy to tak, jest w Niemczech bardziej znana, mniej znana, a to tak naprawdę jest żaden argument, to nie ma praktycznie dla całej tej sytuacji znaczenia. Tutaj pan Wóycicki mówił o Strasburgu. Teraz ja nie wiem jakie będą tam wyroki, czy będą korzystne czy niekorzystne dla Polski, ale tak naprawdę to też nie ma znaczenia. Sam fakt, że Polacy w ogóle muszą sobie tak naprawdę wewnątrzniemieckim problemem głowę zawracać, to jest pewien problem do dzisiaj nierozwiązany i to tyle.

Gabriele Lesser:

Klaus powiedział, że problem leży po stronie Polski. Kazik powiedział, że Problem leży po stronie Niemiec. A ja uważam, że to nie jest kwestia polskiej czy niemieckiej strony. Prawie wszystkie te problemy są zarówno polsko-niemieckie, jak i niemiecko-niemieckie i polsko-polskie. Twarda rozmowa moim zdaniem nie przyniesie żadnych efektów. Powinniśmy rzeczywiście zachować „zdrowy rozsądek”, rozmawiać spokojnie i nie powtarzać w kółko, że tu winni są Niemcy, a tam winni są Polacy. W ten sposób nie rozwiążemy żadnego problemu.

Sonja Volkmann-Schluck (Südwestrundfunk):

Wydaje mi się, że chodzi tutaj o zupełnie normalny proces. Jeśli się zastanowić, jak będziemy widzieć dzisiejsze problemy za 10 czy 20 lat, być może dałoby się powiedzieć: oba kraje zamierzają na nowo określić swoje role, Polska bowiem jest teraz w UE. I że państwa te nie określiły dotąd na nowo swoich ról, ponieważ stale jeszcze pracowano nad tym przystąpieniem do Unii. Polska przelknęła bardzo wiele, by wstąpić do UE. Niemcy zawsze uważały się w tym procesie za pomocnika w szybkim wejściu Polski do UE. Teraz oba kraje chcą albo powinny być równoprawnymi partnerami w UE. A to jakoś niezupełnie wychodzi, bo jeszcze nie porzuciły swoich starych ról, a nowe muszą dopiero znaleźć. Polacy mówią: chcemy, by nas słyszano, chcemy także, by brano nas serio. Z drugiej strony polski rząd obwinia niemieckie media, porównując je do *Stürmera* i nazywając stosunki niemiecko-rosyjskie „paktem Ribbentrop-Mołotow”. Odwołuje się więc znowu do tych dawnych historycznych problemów. Także Niemcy często jeszcze nie traktują Polski jako prawdziwego partnera, a Polacy często mają poczucie, że nie traktuje się ich serio. Strona niemiecka ciągle jeszcze zadziera nosa wobec Polski. Z drugiej strony Polska odnosi się bardziej stanowczo do Niemiec. A Niemcy mówią: Polska należy teraz do rodziny UE, możemy więc krytykować ją surowiej niż uprzednio. Przed jej wstąpieniem do UE przyjmowano postawę bardziej neutralną. Tak więc są tu sprzeczności w kwestii, jak zachowywać się wobec siebie nawzajem.

Media naturalnie bardzo uwypuklają te konflikty, bo po prostu tak funkcjonują. *Bad news are good news*. Są one nader rade z konfliktu, bo można wtedy dać dobry nagłówek, powstaje

wtedy czarno-biały obraz i taka jest logika mediów. Sądzę, że gdy się o tym wie, można zdobyć się na większy dystans. Myślę sobie, że w nadchodzących latach kwestia wypędzeń zejdzie na drugi plan. W przyszłości przybędzie nam przecież wiele wspólnych problemów powstających w łonie Unii Europejskiej. Co zrobimy z Azją? Co zrobimy z globalizacją? Czy potrzebna nam jest wspólna polityka wobec Rosji? Są już zaczątki takiego wspólnego podejścia, na przykład w polityce energetycznej. Myślę, że te wspólne problemy to szansa na wzmożenie współpracy Niemiec i Polski. Dołączą się także inne rządy. Na dalszy dystans nie jestem w tej mierze nastawiona pesymistycznie. Myślę także, że wielką szansą dla Polski jest wypracowanie europejskiej dobrosąsiedzkiej polityki wobec Ukrainy i Białorusi. Powinniśmy dążyć do tego, by mimo wszelkich debat o przeszłości, które są na pewno ważne, nie stracić z oczu przyszłości.

Albrecht Lempp:

Szanowni Państwo. To był bardzo długi dzień. Zastanawiałem się, jak zakończyć. Nie byłem przekonany, czy wyjdzie mi spójne i zwarte podsumowanie dzisiejszego dnia. I właśnie teraz dostaliśmy bardzo elegancki przegląd ze wskazaniem na znaczenie wspólnych, przyszłych zadań. Pozwolę sobie wykorzystać go jako słowo końcowe. Równocześnie dodam od siebie jeszcze dwie rzeczy: przyłączę się do pana Schullera, który powiedział, że zasiadanie na podium jest dla niego często stratą czasu, jednak dziś tak nie było. Odniosłem takie samo wrażenie: nasze rozmowy były interesujące i pożyteczne. I za to, to jest moje drugie zdanie, dziękuję wszystkim uczestnikom dyskusji tutaj na podium i siedzącej na przeciw publiczności. Bardzo dziękuję.